MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 7. WARSZAWA, 16 LUTEGO 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

PRZECIĘTNOŚĆ JAKO IDEAŁ...

JEŻELI coś w społeczeństwie niedobrze się dzieje, jeżeli w niem obserwator natrafia na jakieś arcyniepożądane objawy, a zwłaszcza jeśli te objawy nie są rzadkie—to wina leży wtedy po części tylko w jednostkach;—winne muszą być niewątpliwie także i te warunki, które pozwalają na takie rozbujanie się zła. Musi być wtedy niewątpliwie coś w społeczeństwie, co złu pozwala się rozwijać, a paraliżuje jego siły odporne. To też i dzisiejsze niedociągnięcia góry społecznej, fakt, że nie znalazła się ona na wysokości zadania bezsprzecznie są winą złego startu ideowego. Trzeba więc ten ideał rozpatrzeć i w nim szukać wytłumaczenia zagadki, — ale czy jest jeden ideał dla całej góry społecznej?

Uważam, że tak, — bo choć góra społeczna jest bardzo złożona i składające się na nią grupy różnią się wybitnie od siebie, to jednak nie o tyle, by nie dało się ich sprowadzić do wspólnego mianownika. Wszystkie te warstwy i warstewki naszego narodowego etosu — czerpią z jednego źródła i tradycję jednego źródła rozmaicie przerabiają. Tem źródłem jest dwór polski i z niego wszyscy jesteśmy, na niego więc ostatecznie spada, w teorji, wina dnia dzisiejszego.

Takie postawienie sprawy zapewne zdziwi czytelników, skoro tylokrotnie wypowiadałem poglądy przeciwne i głośno chwaliłem tamten ideał. Spieszę więc dodać, że poglądów swych nie zmieniłem i w całej pełni je podtrzymuję. Przecież ideał może być wypaczony — praktyka często odbiega od teorji, a nawet w samej teorji interpretacja właściwych myśli może być opaczna i błędna. Otóż prawdziwa myśl, najgłębsza życiowa maksyma dworu polskiego, — kryje się dla mnie w tych słowach „Praca nadała spoczynek“, (nie jak cytując z pamięci mylnie pisałem „Miły po pracy spoczynek“ — na co mi łaskawie zwrócił uwagę p. W. Byszewski).

Tak brzmią umieszczone na dworze w Bejscach słowa Marcina Badeniego, które posłużyły mi za kanwę moich poprzednich rozważań. Są one niewątpliwie słuszne a trafnie interpretowane, czytane głęboko i rozumiane istotnie, nikogo na manowce nie zaprowadzą. Ideał jest więc dobry, ale ułomna natura ludzka ma to do siebie, że wszystkie ideały w wykonywaniu ściąga ku sobie i obniża, nie dorastając ich górności, chcąc je jaknajbardziej dopasować do siebie. Im ideał jest szczytniejszy, tem trudniejsza oczywiście jego praktyka i istotne wypełnienie. Wiemy o tem dobrze, borykając się z Ewangelją. A trudność ideału, przy równoczesnej jego potrzebie, powoduje takie jego wyinterpretowanie, że staje się on bardziej osiągalny, tracąc jednak dla tej przystępności coś ze swojej istoty. Kazuistyka sumień ludzkich jest niewyczerpana w wykrętach i ludzka niedoskonałość wymyśli zawsze jakiegoś konia trojańskiego, na którym oszukańczo wjedzie do niezdobytej twierdzy ideału. Tak samo stało się i z tym ideałem, jaki wypiastował dwór polski. Był zbyt górny więc ściągnięto go na dół. Tak jak go dzisiaj rozumie nasza góra jest on zupełnie wypaczony, ujęty wyłącznie jako wygodna recepta przeciętności. Przeciętność i to egoistyczna przeciętność — oto co dzisiaj urabia „dwór polski“.

Każdy ludzki ideał, dlatego właśnie że ludzki—ma w sobie jakiś punkt słaby; coś, co interpretowane zgodnie z Ewangelją, i przez nią uzupełnione, będzie szczytne, ale co zostawione samemu sobie, i zdane na własne pierwiastki doskonałości przemieni się szybko w arcyprzyziemne i arcyosiągalne. Tu jest właśnie furtka dla trojańskiego konia. Gdy chodzi o nasz ideał, to ma on aż dwa takie słabe punkty: jeden że jest to ideał na codzień, a dalej, że jest to ideał spokoju.

Ideał na codzień, to właściwie najszczytniejszy ideał, to jedyna droga do doskonałości. Ale dnie powszednie są szare i gdy się nie pamięta, że każdy z nich ma być idealny, szybko sam ideał szarzeje. Bez wysiłku asymiluje się tylko rzecz wyższa do niższej, bo łatwiej coś ująć niż dodać. Ideał na codzień to zwykle poprostu codzień. Tembardziej, że codzienność pociąga—upaja swoją łatwością, swoistem pięknem. Chęć żeby było zwyczajnie jest bardzo nęcąca, ale szybko przerodzić się może właśnie w zwyczajne filisterstwo. Tęsknota filisterska tkwi w każdym człowieku; całe życie borykał się z nią Tołstoj, a trudno piękniej oddać jej czar od Puszkina, tego bojarskiego poety, którego onieginowski dwór nie wiele się różnił od polskiego. On wręcz zazdrości filistrom, skoro:

„Szczęsny, kto młodym był zamłodu,
Szczęsny, kto dojrzał w miarę lat,
Kto z życiowego nie zmarzł chłodu
I przyzwyczaił się do zdrad,
Kogo nie zraził tłum światowy,
Kto nie biegł w marzeń kraj niezdrowy,
W dwudziestu latach chwata grał,
W trzydziestu posag z żoną brał,
Kogo dług więcej nie uciskał,
Gdy liczył pięćdziesiąty rok,
Kto regularny robiąc krok,
Majątek, sławę, rangę zyskał,
O kim głoszono wyrok ten:
Porządny człowiek jest N. N."

(„Eugenjusz Oniegin" R. VIII, strofa X, tł. Belmont).

A czyż ta strofa nie jest dla tysiąców najszczytniejszym, największym ideałem? Czyż nie zamyka w sobie całej życiowej mądrości?

Gorzej jednak o wiele jest z punktem drugim, bo ostatecznie przeciętność, byle dobra i wysoka i byle niezawistna dla wybitności—poprostu ta co się zowie pierwszej klasy, w zupełności wystarczy. Wystarczy zwłaszcza na codzień, w czem oczywiście i brak, skoro co tydzień jest niedziela, ale zestawiając głód powszedniości i głód spokoju stanowczo uznać należy, że ten pierwszy jest mniej szkodliwy. Przeciętność to przecież norma, jeszcze nie minus, może nawet plusik maleńki, ale co się tyczy spokoju, to pomijając już to, że musi on być stanowczo „nadany przez pracę" — nie jest on sam w sobie czemś bezwzględnie dobrem.

W jednym ze swoich fejletonów „Z duchem czasu", ukazujących się w tygodniku „Prosto z mostu" p. Wojciech Wasiutyński zaatakował nasze umiłowanie zgody („Przeklęta zgoda"), wskazując na to, że tylko walka jest twórcza. Zgadzam się z tem w zupełności, jednobym tylko zmienił—my wcale nie zgodę, ale tylko spokój kochamy i dla „świętego spokoju" (to specyficznie nasze wyrażenie) gotowi jesteśmy wszystko uczynić.

„Święty spokój"—to bardzo charakterystyczne, znaczy to, że spokój jest literalnie największem dobrem i że niema ceny, którejby nie warto za niego zapłacić. A że w przyziemnem rozumieniu spokój zacieśnia się w naszym tylko kątku—prosta stąd droga do sobkostwa. Popularne słowa z „Wesela" należałoby właściwie zmienić na „Niechaj w całej Polsce wojna, byle moja wieś zaciszna, byle moja wieś spokojna". Tak myślał szlachcic saski, nie patrzący dalej swego nosa. Taki walor tym słowom, a raczej temu pragnieniu spokoju nadała później—po otrzeźwieniu stanisławowskiem i napoleońskiem—bezkrytyczna rehabilitacja tej smutnej epoki (Pol, Rzewuski), a nawet w gruncie rzeczy innego pragnący materjalistyczny pozytywizm. Troszcz się o swoje, — nie wtrącaj nosa do cudzego prosa, — oto święte kanony tego tak w polskiej duszy żywotnego pragnienia zamknięcia się ciasno,—samemu.

Nie potępiam spokoju, ani nawet tęsknoty do odcięcia się od świata, ale to aspołeczne jego zrozumienie, które dzisiaj jest tak silne, a które już tyle bruździło w naszej historji. Zwrócę tu uwagę na jedno: — ze wszystkich języków tylko nasz utożsamia pokój (brak wojny) z pokojem (do mieszkania). Jest to wysoce znamienne i jasno tłumaczy to egoistyczne ujęcie sprawy, że pokój już jest wtedy, gdy ja jestem zamknięty u siebie, gdy mnie nic nie grozi.

Z takiego opacznego i małostkowego pojęcia spokoju wypływa większość naszych wad narodowych, prawie wszystkie dadzą się ująć jako pochodne tej mieszaniny lenistwa z małodusznością. Ja zwrócę tu uwagę tylko na jedną, rozpanoszoną nadwyraz i najszkodliwszą jeśli chodzi właśnie o społeczeństwo—na brak odwagi cywilnej.

Brak odwagi cywilnej to nic innego jak unikanie walki, jak uchylanie się od czegoś, co mogłoby zamącić nam spokój, mogłoby zmusić nas do działania, do wyjścia z wygodnej inercji; to lęk przed konsekwencją i ruchem, obawa narażenia się, naruszenia cudzego spokoju, bo nasz wtedy byłby zagrożony—to dobrowolne upodlenie się dla „świętego spokoju".

A skutki tego?—bardzo zwyczajne. To fakt, że paru śmiałków narzuci zawsze swą wolę społeczeństwu, że zuchwalstwo zastraszy u nas zawsze, że ludzie biadając po cichu na nieprawość pochowają się w mysie nory swych spokojów, pozwolą rządzić złu, bo „jakoś to będzie" i „po co się narażać".—No i stałe pocieszanie się tem, że „nasz naród jak lawa", że „wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębi". To prawda — ale niestety rzeczywiście polski ogień bywa za często albo słomiany, albo aż nadto wewnętrzny.

O ile więc można zbagatelizować niebezpieczeństwo powszedniości ideału, bo ono samo w sobie jest nawet poniekąd dobre — o tyle nie sposób nie podkreślać niebezpieczeństwa spokoju. On sprawiał, że wszystkie nasze zwycięstwa były tylko do połowy zwycięstwami, że wszystkie decyzje nie rozstrzygały problemów, ale je kompromisowo gmatwały, że „pług polski nie orał co cudze", że głosy reform były głosami wołającemi na puszczy, a przebudzony i rozbudzony naród łaknąca spokoju szara masa spowrotem zepchnęła do niewoli.

A jednak mimo wszystko, trudno zaprzeczyć, że spokój (ten „nadany przez pracę") jest dobry, ale musi on być nagrodą nie ucieczką. Musi być głęboko i istotnie rozumiany, jako dobro cenne, ale nie bezcenne, jako coś co nie może się pogodzić z podłością i zaprzedaniem. Musi więc być rozumiany moralnie, brany moralnie, zgodnie z całym sensem Bożym, który człowieka obowiązuje. Żaden ideał nie może być faryzejską ostentacją i żaden nie może istnieć sam bez Boga. Nasza góra kroczy po złych ścieżkach i źle czyta maksymy przodków, bo utraciła źródła wiary. Jesteśmy dziś znowu w złym okresie naszej historji—a ten smutny okres potrwa dopóty, dopóki mu na to sami pozwolimy. KAROL STEFAN FRYCZ

GDY ŻYDZI MÓWILI OTWARCIE

(Dokończenie)

III

NA jednej linji z asymilatorami postawić należy członka Polskiej Partji Socjalno-Demokratycznej, d-ra Samuela Herschthala. Wierzy on w asymilację. Nie zna różnicy między żydem a chrześcijaninem. Już Marx powiedział, że „gospodarka pieniężna ogarnęła całe społeczeństwo, a chrześcijanie stali się żydami". „Odkąd żydzi biorą udział w życiu politycznem i narodowem całego społeczeństwa, odkąd ich dzieci uczęszczają do szkół publicznych, odkąd pełnią powszechną służbę wojskową, postępuje kulturalna asymylacja coraz szybciej. Ale decydujący moment dla asymilacji przyszedł z chwilą, gdy chłop przemienił się w nowoczesnego gospodarza wiejskiego: w producenta". P. Herschthal jest dobrej myśli: proces asymilacji postępuje. Z zachodu idzie ku nam fala demokracji, niwelująca różnice wyznaniowe i stanowe — pomoże ona i nam do usunięcia różnic między Polakami i żydami. Nastąpi częściowa emigracja do Palestyny, niezawodnie znaczna część żydów, a przedewszystkiem t. zw. „litwocy", wyemigruje z Polski. Nieustanie także emigracja do Ameryki i niezawodnie rozpocznie się również emigracja do krajów zachodnich. To bezwątpnienia znacznie ułatwi postęp asymilacji. „Nie jest do pomyślenia, by jakiekolwiek państwo, więc także i Polska, mogła wbrew zasadniczym hasłom demokratycznym dzielić swych obywateli bez względu na ich stan, zawód, wyznanie, czy narodowość, na mniej lub więcej uprawnionych. Gdyby się nawet takie stronnictwa lub grupy w Polsce znalazły, to natrafiłyby na żywiołowy opór klasy robotniczej". „Asymilacja przyjdzie, czy będziemy tego chcieli czy nie. Rozwój myśli asymilacyjnej pójdzie swoim torem poprzez antysemitów czy asemitów i poprzez syjonistów. Żydzi staną się prawdziwymi, wolnymi i równymi obywatelami wbrew swym wrogom i wbrew swym opiekunom".

P. Herschthal widzi dziś niewątpliwie, iż — wszystkie jego przepowiednie z r. 1919 spełniają się „naodwrót." Jak — wiele doktryn socjalistycznych!

Rektor Politechniki Lwowskiej, dr. Edwin Hauswald, oświadcza się za asymilacją. Jest on przeciwny przyznaniu żydom „zbiorowych praw narodowych", natomiast „trzeba będzie tego rodzaju grupy uważać jako należące do innych narodów, posiadających pełne prawa państwowo-narodowe w swoich własnych państwach, jak np. żydzi narodowi w Palestynie, Niemcy w republice niemieckiej lub austrjackiej, Anglicy w Brytanji. Państwo nie będzie obowiązane uznawać w urzędach języka takich grup narodowych jako krajowego, nie będzie miało obowiązku utrzymywania lub zasilania szkół i innych zakładów publicznych dla owych grup narodowych. Wszystkie istniejące w państwie grupy narodowe musiałyby się same troszczyć o swe interesy narodowe, nie odwołując się do pomocy, opieki lub wpływu państwa".

Ciekawe stanowisko zajął poseł konserwatywny, prof. uniw. dr. Alfred Halban. Nadesłał on na ręce d-ra Stahla memorjał, a w nim pisał:

„Czy pełnoprawnym obywatelem Polski może być jedynie jednostka narodowości polskiej? Państwo niemiecko-austrjackie żąda jako warunku pełnoprawnego obywatelstwa deklaracji narodowości niemieckiej. Izraelici tamtejsi, podpisując takie deklaracje, poddają się identyfikacji pojęć narodowości i obywatelstwa. Izraelita albo jest Niemcem, a wtedy korzysta z pełni praw, albo nie uważa się za Niemca, a wtedy zrzeka się praw obywatelskich. Gdyby Polska zajęła takie samo stanowisko, pytanie stałoby się zbyteczne."

Dodajmy jednak odrazu, iż p. prof. Halban stosunki austrjackie przedstawił nieściśle. Wniosek o pozbawienie praw nie-Niemców był tam istotnie zgłoszony, ale Rada Narodowa odrzuciła go pod naciskiem rządów obcych. Musiała się poddać triumfującej wówczas masonerji: dr. Halban proponuje dalej poddanie rewizji praw obywatelskich, przyznanych przez państwa zaborcze. „Możnaby np. „litwokom", jako żywiołowi napływowemu, odmówić przyznania obywatelstwa. Również możnaby odmówić obywatelstwa napływowym od niedawna żydom w Poznańskiem i w Królestwie, jakoteż wogóle wszelkim świeżym, a niepożądanym elementom, przesiedlonym do Polski przez rządy zaborcze w celach antypolskich w ciągu ostatnich lat 30".

„Izraelici nie mogą być uważani za naród w pojęciu, do któregoby można zastosować pojęcia prawno-państwowe. Nadanie izraelitom autonomji równałoby się nadaniu przywileju narodowościowego bez podstaw narodowych z uszczerbkiem dla państwa".

„Nie mogę pominąć milczeniem t.zw. neutralności, zwłaszcza tej, którą przyznano żydom we Lwowie dobrowolnie w dziedzinie wojskowej. Chcę, jako prawnik, zaznaczyć, że zaszło zwolnienie żydów od najważniejszego obowiązku przy równoczesnem pozostawieniu im praw obywatelskich, a więc uprzywilejowanie. Zasada wydaje mi się błędną i szkodliwą. Jeżeliby uznanie neutralności miało być utrzymanem, natenczas należałoby wysnuć konsekwencję i załatwić pytanie, czy Polska może uznać za obywateli tych, co zgłosili swą neutralność. Sądzę, iż deklaracja neutralności równa się wyrzeczeniu obywatelstwa, o które dane osoby musiałyby się osobno starać i które mogłyby im według uznania władzy być nadanem. Nagradzać za neutralność nie można, a nagrodą byłoby uznawanie ich za obywateli, korzystających z pełni praw, chociaż wymówili się neutralnością od najważniejszego obowiązku. Żydzi, nie będący obywatelami Polski, musieliby podlegać wszelkim ograniczeniom, jakie państwo może stosować do obcokrajowców. O rozmiarze takich ograniczeń decyduje interes państwa".

W konsekwencji jednak prof. Halban wszystkim obywatelom państwa polskiego ewentualnie obywatelom „narodowości polskiej wyznania mojżeszowego" przyznaje pełne prawa — należy więc prof. Halbana zaliczyć również do grupy zwolenników asymilacji.

IV

Dwaj tylko mówcy polscy przeciwstawili się „wspólnemu polsko-żydowskiemu państwu" i asymilacji — byli to mec. dr. Jan Pieracki, występujący imieniem lwowskiej grupy Demokracji Narodowej, i prof. dr. Maksymiljan Thullie.

Prof. Thullie wystąpił najbardziej zdecydowanie jako asemita. Niestety jego późniejsze zbratanie się z „sanacją", zaprowadziło go i do spółki z żydami (wybory lwowskie w r. 1930!).

P. Thullie oświadczył na wstępie: „jestem asemitą."

„Nie można należeć równocześnie do dwu narodów. Jak niemożliwym jest Niemiec-Polak, Szwed-Polak, Francuz-Polak, to też niemożliwym jest żyd-Polak. Polacy żydowskiego pochodzenia, o ile okażą czynami i swem życiem, że są Polakami, są równouprawnionymi członkami narodu polskiego."

„Uważam żydów jako odrębny naród. W myśl swoich interesów narodowych żydzi, nie troszcząc się o interesy polskie, łączyli się często przez czas rozbiorów i w czasie Wojny Światowej z państwami zaborczemi przeciw nam. W obecnej walce polsko-ukraińskiej oficjalnie ogłosili się żydzi neutralnymi, bo wobec niepewnego wyniku walki tak im ich interes żydowski nakazywał. Fakty te wskazują, jak ze stanowiska państwa polskiego należy określić prawa i obowiązki żydów."

„Ad 1) a) I. Należy żydów uznać za obcokrajowców za obywateli państwa palestyńskiego. Cenię wysoko zasadę równouprawnienia obywateli, ale tyczy się ona może tylko autochtonów, a nie elementu napływowego. Jeżeli się obecnemu narodowi daje równouprawnienie, to wychodzi to tylko na szkodę państwa. Zresztą prawa są zawsze zawarunkowane obowiązkami. Żydzi umieją się od obowiązków uchylać. Ilu żydów służy na froncie? We Lwowie około 10 000 żydów wzięło certyfikaty, że nie są Polakami, aby się od obowiązków walki za ojczyznę uwolnić. Oni są neutralni i gotowi się zawsze oświadczyć za zwycięzcą. Danie wpływu narodowi obcemu na rządy państwa jest łatwo zrozumiałem nieszczęściem dla młodego państwa polskiego."

„W r. 1848 odczytano uroczyście deklarację polską na ratuszu poznańskim, zapewniającą izraelitom korzystanie z pełni praw obywatelskich. A w kilka tygodni później, po zwycięstwie Niemców, żydzi uczuli się Prusakami do szpiku kości. Wybitny członek żydowski Rady miejskiej wołał: „Nie wolno nam spocząć, póki nie wygnamy ostatniego Polaka z miasta."

Uważam więc, że żydzi:

a) mieszkać mogą wszędzie,

b) mają prawa nabywania nieruchomości (są możliwe ograniczenia),

c) przyznaje się im zupełną autonomję pod względem religijnym, kulturalnym i szkolnym,

d) nie mają prawa wnosić próśb do władz w żargonie lub w języku hebrajskim,

e) mają prawo zarobkowania w zawodach wolnych,

f) nie mają prawa wyboru ani wybieralności do Sejmu, mogą jednak zasiadać w zarządach gminnych,

h) nie mają obowiązku służby wojskowej,

i) płacą podatki.

Jeżeliby żydom przyznano obywatelstwo polskie, to mimo to uważam za wskazane ograniczyć żydów w szkołach i zaprowadzić kurje wyborcze i żydowskie".

Dr. Jan Pieracki zastrzegł się na wstępie, iż mówi tylko „w imieniu własnem i pewnego grona najbliższych przyjaciół politycznych", bo nie miał sposobności porozumieć się z zarządem Stronnictwa w Warszawie, poczem odrazu przeszedł do *meritum* sprawy:

„Decydującym być powinien jedynie interes państwa polskiego i interes narodu polskiego. Masy żydowskie nie należą do narodowości polskiej i narodowości tej są obce. Jeśli żydzi w Polsce mniemają, że przecież stanowią odrębny naród, naród żydowski, to państwo polskie nie ma żadnego interesu w tem, aby odmawiać im prawa takiego określenia swej narodowości. Interes narodu polskiego polega na tem, aby naród polski w Polsce czuł się i był nietylko z imienia, ale praktycznym gospodarzem państwa. Żydów jest w Polsce zadużo. Państwo polskie powinno dążyć do obniżenia ilości ludności żydowskiej przez zorganizowanie i popieranie ruchu emigracyjnego i zakaz imigracji do Polski obcych elementów.

Polska chce być panią u siebie w domu i nie może dopuścić do stworzenia państwa w państwie, dlatego realizacji programu syjonistycznego tu u nas w Polsce, oprzeć się musi.

Żydom, którzy przy jakiejkolwiek sposobności oświadczyli się już wobec władz polskich, że nie uważają się za obywateli polskich lub którzy w ten sposób się oświadczą, lub żydom, którzy w pierwszej dopiero generacji mieszkali na ziemiach polskich należy odmówić przyznania obywatelstwa polskiego i traktować ich na równi z innymi obcokrajowcami. Poczynić też należy jaknajdalsze ułatwienia w przejściu żydów z obywatelstwa polskiego na obywatelstwo palestyńskie.

W sprawach wyznaniowych pozostawić należy żydom zupełną autonomję. Z władzami żydzi powinni się znosić w języku polskim. Przymus szkolny obowiązuje i żydów. Tworzenie jakichkolwiek specjalnych intytucyj dla żydów we władzach centralnych jest niedopuszczalne."

Na zakończenie dyskusji dr. Teofil Merunowicz stwierdził, iż „na stanowisku asemityzmu stało ustawodawstwo polskie przez cały ciąg istnienia państwa przed rozbiorami, t. zn., że ustawodawstwo nasze pozostawiało zupełną autonomję żydom w zawiadowstwie ich spraw wewnętrznych, ale zato wykluczało ich bezwarunkowo od wszelkiego udziału w sprawach państwowych" i tak powinno być i w nowej Polsce.

V

Na tem dyskusję ukończono. Żydzi chcieli rozszerzyć ramy ankiety i dyskutować dalej. W tym celu zgłosili parę wniosków konkretnych. Ale Polacy mieli już pięciodniowych narad dość i obrady zostały zamknięte. Prezydjum zebrania ogłosiło następnie komunikat w prasie codziennej, stwierdzający, iż ankieta dała sposobność zaznaczenia owego stanowiska wobec kwestji żydow-

skiej wszystkim, którzy głos zabrać chcieli—reszta zaś należy do Sejmu, któremu Tymczasowy Komitet Rządzący wszystkie materjały, zebrane w czasie obrad, przekazuje w tem „przekonaniu, że mogą one posłużyć sferom miarodajnym do wyrobienia sobie sądu o stanie sprawy żydowskiej u nas w Małopolsce w chwili narodzin Państwa Polskiego.”

VI

Od ankiety lwowskiej upływa lat prawie 17. W tym czasie spełniły się najśmielsze nadzieje i marzenia żydów: kongres pokojowy i Traktat o mniejszościach przyznały żydom wszystkie prawa mniejszości narodowej. Obydwie konstytucje polskie przyznały żydom pełne równouprawnienie i wszystkie prawa obywatelskie. Pomajowy minister spraw wewnętrznych, gen. Składkowski, swem słynnem rozporządzeniem ulegalizował prawa obywatelskie „litwoków“ i wszystkich elementów napływowych. Żydzi zajmują dziś wysokie i najwyższe w Polsce urzędy. Dr. Mojżesz Schorr, neutralny w walkach o Lwów i Małopolskę Wschodnią, jest teraz senatorem z nominacji Rzeczypospolitej Polskiej i daje nam — lekcje patrjotyzmu państwowego. Asymilatorzy umilkli lub — znikli.

Ziściły się najfantastyczniejsze sny Izraela.

Wiadomo jednak z historji żydów w państwach zachodnich (Hiszpanja, Francja, Niemcy), iż spadek ze szczytu następuje szybko.

Zadużo żydzi w Polsce zyskali. Doszli do szczytu. Czy tam długo pozostaną? Wiele oznak wskazuje, iż ich upadek będzie szybki.

STANISŁAW RYMAR

ROZBICIE I ŁAD

ROZWAŻANIA moje na temat *habitus* narodowego[1]) wymagają jeszcze wykończenia. Idea narodowa tak sformułowana, jak to starałem się uczynić, przynależy do pewnego szerokiego światopoglądu. Jestem głęboko przekonany, że światopogląd ten (dziś, jak się zdaje, coraz bardziej powszechny), zwiastuje początek nowej epoki. Napewno zaś stanowi on radykalne odwrócenie pojęć, z duchem czasów przedostatnich jest w krańcowem przeciwieństwie, a pokrewieństw szukać może aż w odległem średniowieczu. Wypada więc bliżej go sprecyzować, przynajmniej w kilku zasadniczych rysach, aby uczynić bardziej wyraźnemi konsekwencje mych rozważań, które pragnę tu wysnuć.

Duch czasów nowych w zestawieniu ze światopoglądem ustępującym przedstawia mi się jako duch paradoksu, tamten zaś przeciwnie — jako duch analizy. Przynajmniej w tak zarysowanem przeciwstawieniu różnica występuje najjaskrawiej. Dlatego trzymam się uparcie tych określeń, które jakkolwiek może dowolne i doraźnie do tematu przystosowane, jednak są mi najwygodniejsze. Ale te rzeczy trzeba szerzej rozwinąć.

Osią różnicy jest tu pogląd na człowieka. Średniowiecze, któremu przypisuję ten sam, a przynajmniej analogiczny światopogląd, co czasom nowym, pojmowało człowieka jako paradoks jedności z duszy i materji, twór, którego istota i jedność opiera się na wewnętrznej sprzeczności. Jego paradoksalny światopogląd przyjmował ten stan rzeczy jako oczywistość. Istotą wszelkich spraw ludzkich była dlań walka tych przeciwieństw. Czasy t. zw. nowożytne patrzyły na rzecz inaczej—przyjęły postawę wątpienia o tym stanie rzeczy. I o ile średniowiecze jako lekarstwo na tę dwoistość wysuwało postulat wewnętrznej harmonji, o tyle czasy nowożytne podjęły analizę, pragnąc dociec po której stronie paradoksu człowieka leży jego prawdziwa rzeczywistość. Tędy właśnie wiodła droga do materjalizmu. Czasy te miały postawę analityczną w stosunku do wszelkich spraw ludzkich. Owocem analizy były tu (że ucieknę się do przykładów) zestawienia takich przeciwieństw, jak życie praktyczne i religja, praktyka i teorja, treść i forma. Dyskusja miała rozstrzygnąć czy należy żyć życiem świeckiem czy religijnem, czy w działaniach, n. p. w polityce, obowiązują względy praktyczne czy teoretyczne, ideowe („co innego teorja co innego praktyka”), czy w sztuce istotą rzeczy jest treść, czy forma — zatem sztuka „treściowa” czy sztuka „formalna” etc.

Ale analiza wiedzie do fikcji. Wyróżnione na tej drodze przeciwieństwa mają byt tylko pojęciowy, intelektualny, zatem innego porządku niż rzeczywistość stworzona. Postawa wątpienia o paradoksalności rzeczywistości, doprowadziła do zaprzeczenia rzeczywistości. Racjonalizm tej postawy wiódł do metod matematycznych, mechanistycznych. Podczas więc gdy średniowiecze, uznając, że istotą rzeczywistości jest dwoistość, niedolę ludzkiego paradoksu leczyło nakazem wewnętrznego wysiłku w osiągnięciu harmonji, czasy nowożytne, zaprzeczając rzeczywistości, lekarstwa tego szukały w racjonalistycznych utopjach, w myśl których miano świat przebudować na nowo, wprowadzając taki porządek, który drogą z e w n ę t r z n ą, mechanistyczną zaprowadziłby szczęście. Średniowiecze miało statyczny obraz świata jako stworzonego przez Boga w myśl pewnego niezmiennego ładu, zatem w istocie dobrego, czasy nowożytne — obraz dynamiczny. Świat był dla nich w gruncie rzeczy p r o c e s e m rozwojowym, w którym dokonywa się nieustanny postęp, który tedy trzeba przebudowywać i udoskonalać. W średniowieczu tęsknota do doskonałości życia wyrażała się w nakazie kiełznania niszczącego działania materji, zniekształcającego doskonałość instytucyj, stworzonych przez Boga, w nakazie wewnętrznego wysiłku duchowego — w czasach nowożytnych tęsknota ta znajdowała ujście w planach radykalnej przebudowy świata, zaprowadzenia takiego porządku stosunków zewnętrznych, które stworzą „nowy wspaniały świat”. Średniowiecze miało dynamizm wewnętrzny, czasy nowożytne — zewnętrzny w stosunku do człowieka.

---

[1]) Tu muszę prosić łaskawego czytelnika o rzucenie okiem na artykuły moje p. t. „Powrót do paradoksu” oraz „habitus narodowy,” ogłoszone w Nr. Nr. 2, 3, i 4 „Myśli Narod.” artykuł niniejszy bowiem jest dalszym ciągiem zawartych tam rozważań.

Co więcej — możnaby powiedzieć, że czasy nowożytne w walce z dwoistością człowieka dopiero ją w gruncie rzeczy wprowadziły. Średniowiecze w dwoistości tej widziało jedność, miało to przekonanie, że cała prawda leży w paradoksalnem zespoleniu przeciwieństw, że świat nie jest prosty ale złożony, nie da się racjonalistycznie usystematyzować, wymaga czegoś po za nim — Boga — aby go można pojąć. I dlatego właśnie średniowiecze miało prosty, uporządkowany, dobrze zagospodarowany obraz świata. Świat był mały i prosty, wielki i niepojęty był tylko Bóg, ale w Nim zarazem było lekarstwo na wszelką ludzką niedolę. Stąd poczucie dostojeństwa życia jako pielgrzymki do Boga, krucjaty przeciw złym mocom. Czasy nowożytne dokonały rozdarcia paradoksu i one to dopiero wprowadziły dwoistość, owe przeciwieństwa nędzy życia i świetności ideałów, religji od święta i życia codziennego, idealizmu politycznego od wieców i broszur i „brudnej polityki" w praktyce. Wyniosły religję poza życie, moralność poza politykę, gospodarkę publiczną i handel, wyniosły i poza życie i sztukę, bo jako idealna miała być nie życiem samem, które jest nędzne i poziome ale ucieczką od życia.

Bodaj że właśnie od strony sztuki zaczął się odwrót od światopoglądu czasów „nowożytnych". Ponowne zainteresowanie sztuką średniowieczo przyczyniło się do bankructwa idei postępu w sprawach humanistycznych i to był pierwszy wyłom. Tutaj też dokonało się scalenie pierwszego paradoksu: jedności treści i formy.

Dziś świat powraca do paradoksu na całej linji. A jest to zwrot od mechaniki do człowieka, od pesymistycznego zaprzeczenia rzeczywistości do jej optymistycznego potwierdzenia. Człowiek, obrany przez analizę ze wszystkiego, co mu dawało spokój wewnętrzny i ład zewnętrzny, rzucony jak kropla wody w Niagarę niepojętej ewolucji świata, poczętej gdzieś od cząstki protoplazmy w pramaterji, zdany na bezduszne i bezosobowe moce, wolny, równy i niepodległy, ale przeraźliwie samotny na globie, pędzącym po beznadziejnie monotonnej elipsie, człowiek rozdwojony wewnętrznie, zrównany z prochem, wyzbyty poczucia swej ponad materjalnej godności, znękany i przeżarty pesymizmem, kiedy począł już tracić poczucie rzeczywistości i nie wiedział, co sen, a co jawa, zbudził się nagle i otrząsa koszmar. Przetarł oczy i rozejrzał się dokoła. Oto słońce świeci na niebie, a dokoła ziemia w pełnej krasie. I oto radosne odkrycie: na świecie jest ziemia i niebo. Wydają się niesłychanie odległe ale przecież na kole widnokręgu zwierają się z sobą, obejmują człowieka i zamykają w sobie. Człowiek poczuł się w środku paradoksu widnokrężnego koła, na którem ziemia spotyka się z niebem. Zamknąwszy oczy, można sobie pomyśleć ziemię i niebo oddzielnie, ale to fikcja, a rzeczywistość jest inna. To co się daje w myśli rozdzielić, w rzeczywistości spojone jest nierozerwalnie. Próżnoby się starać przebić za koło widnokręgu — on nieustannie ucieka, a zarazem okrąża i zamyka odwrót.

Człowiek uwierzył w paradoks, w ten obraz świata, w ten widnokrąg, który staje mu przed oczami od chwili, kiedy je pierwszy raz otworzy, i towarzyszy mu niezmiennie aż do ostatniego zawarcia powiek. Wtedy wydostanie się on z paradoksu, a tymczasem ma ziemię i niebo, oblane słońcem.

Rzeczą naistotniejszą jest tu potwierdzenie rzeczywistości. Wiara w to, że ten świat nie jest nikczemny, że jest w nim nie tylko nędza ale i chwała, nietylko materja ale i duch — ziemia i niebo, że świat ten nie jest ostatnim i najnędzniejszym ze światów, że jest stworzony przez Boga i przezeń mądrze uładzony. Świat znowu się staje środkiem wszechświata — bo istotą jego jest nasz świat wewnętrzny, który z Bogiem ma styczność bezpośrednią. Powraca coś z tej średniowiecznej wiary, że Ziemia jest środkiem wszechświata. Słońce znowu poczyna obracać się wkoło Ziemi.

Człowiek, wyrwany z wiru ślepej ewolucji, czuje się dziś umieszczony na świecie bardziej na stałe, w stałych formach określonego ładu. Czuje się istotą celową, nie zaś nieszczęśliwym wypadkiem w potoku zdarzeń. Ma ochotę zagospodarowania się, ma czas na namysł i ochotę upiększenia swego ziemskiego pobytu. Wolny od upiornej, zaiste, wizji swej odległej, jednokomórkowej prababki zatopionej w plazmie, od niepokojącego wspomnienia dziadka szympansa, czuje się człowiekiem pełnym, na obraz i podobieństwo Boże i oddawna człowiekiem.

Spojrzenie jego odwraca się od rzeczy zewnętrznych ku wewnętrznym, sięga mniej na odległość, ale za to bardziej do głębi. Oderwany od fikcji, przywrócony do rzeczywistości odkrywa on rzeczy wielkie w pobliżu. Tu właśnie, w tęsknocie do wielkości i chwały, odnalazł rzecz najbliższą, najserdeczniejszą, a zarazem wielką i Bożą — naród. Wtedy nadeszły narodziny tej optymistycznej idei narodowej, pojmującej naród jako twór Boży, konieczny i celowy, wyposażający w moc wewnętrznej organizacji ducha, w niezbędne warunki twórczości. Człowiek spostrzegł, że społeczność w której żyje, nie jest geszeftem umowy społecznej dla obrony interesów, ale dziełem stworzenia, realizacją wiecznej idei ładu. Dostrzegł, że ta idea, bytująca wgórze nad narodem, ma dziwną moc przyciągania, która sprawia, że naród wznosi się ku niej, rośnie w wieżasty gmach pełen wielkości i chwały. A że zarazem gmach ten obejmuje całe życie, od rzeczy najwznioślejszych do najcodzienniejszych, przeto spełnia się ten najbardziej cudowny paradoks, iż dzień powszedni staje się świętem, rzeczy przemijające stają się wielkie i trwałe. To zaś jest jedyne ukojenie wewnętrznej rozterki człowieka, jego głodu doskonałości i rzeczy wiecznych.

W tem właśnie leży przyczyna entuzjazmu ruchów narodowych. Średniowieczny duch krucjaty powrócił na ziemię, ten duch spełniania Bożego ładu, który w średniowieczu nadawał wagę najdrobniejszym poczynaniom, urodę najdrobniejszym przedmiotom. W młodego chłopa czy robotnika, który wszedł w służbę idei narodowej wstąpił duch błędnych rycerzy. Na zebraniach i wiecach, w tych „niekulturalnych" burdach i pogromach nie widzi on szarej codzienności, rzeczywistość mu już nie „skrzeczy" — depcze on po smokach, jest żołnierzem wielkiej sprawy, ucina głowy hydrom. Polityka jest dlań krucjatą. Duch

Gottfryda de Bouillon, znalazłszy w zamkach i dworach sfilistrzałych tchórzów, w potomkach dawnego rycerstwa — zżydziałych geszefciarzy, zstąpił pod strzechę, natrafił na formę grubszą i mniej okrzesaną ale na serca gorące. Jest to duch niespokojny i czynny i nie ogląda się na formę — walczy wśród tych, którzy stanęli na jego zawołanie.

*

Zapowiedziałem na wstępie, że mam zamiar wykończyć moje rozważania na temat *habitus* narodowego, i oto odbiegłem tak daleko od rzeczy. Ale tylko napozór. Potrzeba mi było bowiem związać to, co powiedziałem na temat *habitus*, z szerszym zarysem światopoglądu, do którego tamte rozważania należą. Teraz dopiero zrozumiałe jest statyczne pojęcie narodu w połączeniu z jego dynamizmem wewnętrznym, którego motorem jest *habitus* narodowy oraz istnienie wiecznej idei narodowej, której naród jest realizacją.

W sprawach *habitus* narodowego cała idea narodowa, cała, jeśli tak rzec można, nauka o narodzie jest już zawarta. Po za nią jest ten szeroki światopogląd, do którego ona należy. Niepostrzeżenie dokonało się tu coś ważnego — oto z pojęcia nacjonalizmu zostało tu wiele, ale zarazem i bardzo mało. Wyłonił się światopogląd, szeroka idea cywilizacyjna, odpadł zaś „izm". Odpadła doktryna polityczna. Sądzę, że czas ostatni zarzucić termin „nacjonalizm", tak pokrewnie brzmiący z wszelkiemi „socjalizmami", „fourieryzmami" i t. d., a więc temi właśnie oderwanemi od rzeczywistości, utopijnemi planami zaprowadzenia szczęśliwości powszechnej drogą mechanistycznych zabiegów, w stosunku do człowieka zewnętrznych, z któremi przecież idea narodowa, organizująca człowieka wewnętrznie, nie ma nic wspólnego.

Znakomity nacjonalista polski, hetman wówczas polny koronny Stanisław Żółkiewski, mowę swą na sejmie walnym warszawskim roku 1605, zaczął takiemi słowami:

„Za obmyślawanie rzeczy nawalnych Rzeczpospolitą następujących, które W. K. M. z wielu miar uprzętać raczysz, równo z ichmość drugimi pany senatory, W.K. Miłości, memu miłościwemu panu, uniżony sługa dziękuję".

Sądzę, że w tem właśnie „obmyślawaniu i uprzątaniu rzeczy nawalnych Rzeczpospolitą następujących" jest cała doktryna polityczna idei narodowej. Idea ta jest czemś więcej niż programem politycznym, jest stanowiskiem zasadniczem, które przyjąwszy, można bez troski o „izm" obmyślać programy doraźne co do „uprzątania rzeczy nawalnych".

Światopogląd narodowy wychodzi poza programy polityczne, ogarnia szersze koło spraw i ludzi. Zasięg jego jest szerszy niż szeregi jego politycznych wyznawców. Jest dziś w Polsce wielu ludzi wyznających ten sam światopogląd, mimo, że jego program polityczny jest im obcy, i naprzekór najgorętszej ich opozycji przeciw temu programowi. Ale mają oni światopogląd niepełny. Jest to bowiem światopogląd konkretu nie abstrakcji, w sprawach konkretnych najsilniej się wyraża i dlatego pełnia jego tkwi w idei narodowej.

To że idea narodowa jest czemś więcej niż programem nie oznacza bynajmniej, że z idei narodowej nie wynikają pewne założenia dla polityki. Ale są to założenia ogólne, stanowisko, nie doktryna.

Czasy „nowożytne" stworzyły dziwaczną parę pojęć — „brudna polityka" i chwalebny patrjotyzm. Jako chwalebny — oderwany od poziomego życia, sentymentalny i aktorski. Idea narodowa scala tę pozorną antynomję, zarazem oczyszając politykę i wiążąc patrjotyzm z życiem. Naród bowiem to nie geszeft umowy społecznej, ale wcielenie idei Bożej. Gospodarka w nim to nie afera, ale rzecz wielka i doniosła. Tak wielka, że drogi jej są proste, a polityk nie jest aferzystą, ale pełni posłannictwo — posłannictwo realizowania idei narodowego ładu. Czystość czy brud jest tu kwestją wewnętrzną człowieka, nie zaś zewnętrzną polityki samej w sobie, i od człowieka zależy.

W tem właśnie leży istota zagadnienia elity i hierarchji. Jest ono zrozumiałe tylko dzięki pojęciu *habitus* narodowego. O przynależności do elity nie decydują żadne względy zewnętrzne, ale warunek wewnętrzny — posiadanie specjalnego *habitus* narodowego, jakiegoś *habitus* rządzenia. Zaznaczyłem już przedtem, że wśród mnogości kręgów wiążących jednostkę z narodem i składających się na *habitus* narodowy, te, które symbolizują nawarstwienia tkanki funkcjonalnej, mają znaczenie szczególne. W nich się wyraża to miejsce, jakie *habitus* człowieka zajmuje w hierarchji możliwych *habitus* narodowych. Można bodaj ogólnie powiedzieć, że *habitus* rządzenia osiąga się przez związek z temi zasadniczemi zrębami konstrukcji narodowej, jakiemi są religja, historja, ziemia i styl kultury, w którym wreszcie wyrażają się jakości narodowego kryształu, takie jak rycerskość, poczucie wielkości i proporcji spraw i t. d. Przedewszystkiem zaś musi to być *habitus* nie partykularny, ale ogarniający całość spraw narodu, cały naród. Z tych właśnie źródeł szlachta polska czerpała swój *habitus* rządzenia.

Myślę, że z całą pewnością powiedzieć można, iż *habitus* elity winien ponadto i przedewszystkiem wyposażać w świadomość tego, czem jest naród, że mianowicie jest on tworem koniecznym, realizacją wiecznej idei narodu. Z pewnością nie mają tego *habitus* ci wszyscy, którzy dziś głoszą tak modne sposoby na Polskę, projekty jakby ją zacząć nanowo, jakby ją zbudować. Gdy się wie, że naród jest tworem koniecznym, że dynamika jego jest wewnętrzna nie zewnętrzna, te projekty wydają się niegodne i absurdalne. Niema żadnych sposobów na Polskę, nie można jej zbudować, ponieważ ona jest, jest taka właśnie, a nie inna, bo taka właśnie, a nie inna jest idea narodu. Polityk ją realizuje, dbałość jego idzie w tym kierunku, aby ją jaknajpełniej wcielić w życiu konkretnem narodu i na tem polega jego troska. Kryształ narodu jest wieczny, ale jego wcielenie w materjl ulega zniekształceniom. Zadanie elity leży w tem, aby te zniekształcenia zmniejszać do *minimum*. Polityk musi mieć pokorę wobec spraw narodu, który jest i wyższy i starszy od człowieka, a także poczucie odpowiedzialności, nie zaś przedsiębiorczość ulicznika. Wysiłek polityka to przedewszystkiem wysiłek wewnętrzny nad zespoleniem się, poprzez *habitus*, z kryształem narodu.

HENRYK EYSYMONTT

NORWIDJANA IV

LISTÓW C. NORWIDA

GARŚĆ TRZECIA

Podał STANISŁAW PIGOŃ

1. DO ANTONIEGO (ZALESKIEGO)

Berlin (listopad-grudzień) 1845 r.

Kochany Antoni

Wiele rzeczy i ludzi musiałeś już zobaczyć od czasu widzenia się naszego w stolicy Chrześcijaństwa. Nie mogłem was dogonić, jak to sobie życzyłem, bo raz że silna dość choroba zaskoczyła mię w Rzymie, drugi raz że termina zawsze są dla mnie pomnikami neobaczności ludzkiej, które za nic innego do dzisiaj jeszcze mieć nie mogę. Na południu upał mnie obala, a na północy wilgoć szkodę zdrowiu przynosi. Kiedy się zima rozpoczyna, tracę płaszcz watowany i obuwie mi pęka w czas największego błota. — Cieszkowski utrzymuje, że z historji ujętej jako przeszłość należy wnosić o przyszłości; mogę się więc spodziewać, że jeśli na rok przyszły wybiorę się do Rzymu (o czem bardzo rozmyślam), to nie zatrzymam się aż w Moskwie.

A jak Paryż francuski, i Paryż polski, i nasz Adam?... Niechaj Cię to nie gorszy, że tego ostatniego do zbiorowych łączę wyobrażeń. Lubię szanować każdą wielkość, bo każda wiele łez kosztuje i częstokroć się lękam wyobrażeń sprawiedliwości niezachwianej, która w człowieku pojedyńczym tak łatwo schodzi na fanatyzm. A sądziłbym, że właśnie znajdujemy się w czasie tysiąca drobnych fanatyzmów, ciasnotą jedną połączonych i jakoby łokciami rozpierających się o miejsce. Tego wszystkiego tak nie lubię, to mnie tyle zasmuca, tyle mi widzieć daje u nas niby jakiegoś ostraszenia i — że tak powiem — niewolnictwa!... Są takie ptaki, którym w słońce nie dano jest poglądać, — miałyżby i narody przez te fazy przechodzić?... Nie, ja tobie powiadam ze szczerością człowieka, który nie wstydzi się być miernym, że uczucie wolności tak się nazewnątrz wysiliło, że już mnie więcej nie zadziwia to rozwolnienie formy, jakie i w piśmiennictwie i w sztuce spotykamy. Bo cała siła w formie jest.

Ciekaw byłem zobaczyć nieco bliżej, czem są te wszystkie partje i która najmniej partją?... Przez co chciałbym zrozumieć, która najwięcej rzeczywista. Wiem, że z wyrazem „rzeczywistość" należy dzisiaj być ostrożnym, ale i to wiem także, że odwaga i szczerość ma rzeczywistą swoją wartość, a ostrożność w opinjach często jest raczej nieostrożnem rachowaniem się względem siebie, względem godności osobistej, przyzwoicie pojętej. Od czasu, kiedy rzeczywistość zaczęła być nikczemną, czyli raczej nikczemność stała się u nas rzeczywistą, — przeklęto wszelką rzeczywistość, co tak wymownie spotykamy w całej naszej poezji Mickiewiczowsko-romantycznej.

A jakiż koniec tej lotności? Bardzo cenię Chopina, ale polonez Ogińskiego więcej prawdy ma dla mnie i mógłbym się wyrazić, że okrągłość jego „w dłoniach czuję", jak to Adam powiada. — Rozumowi nie ufam samowładnie, ale kochając ludzi, nie uważam za zbrodnię ich rozumieć. Za długo byłem sam na świecie, za wiele miałem przeciwności i nazbyt wiele razy przymuszony byłem Boga prosić o przyjemniejszą rzeczywistość, ażebym tej ostatniej dumnie bytu odmawiał, przekonany, że tylko wśród ekstazy promieniem można być porwanym i o stygmata się uczepić, nad mniej zdolnymi braćmi i ziemią cierpień zawisnąwszy.

Nie wiedziałem, że starczy mi oddechu, żeby i dłużej się rozwodzić, bo jestem dziś cierpiący,— ale trzecia się zbliża, rzeczywistość każe mi się wstrzymać, bo Koźmian czeka mię do trzeciej. Kończę więc, jak ów Kolumb: „ziemia! ziemia!" wołając.

Cyp. Norwid

Uściskaj proszę Jankowskiego i p. Hoffmanowi pokłoń się.

Uwaga wydawcy: Autograf, bez adresu, w Bibl. Jag. wśród korespondencji J. B. Zaleskiego. Data szczegółowsza nie podana, ale w przybliżeniu można ją nieco ściślej określić. Norwid w r. 1845 przyjechał do Berlina dopiero w listopadzie (Cywiński, *O gwiazdzisty diament*, 12), a Jankowski (Ludwik, siostrzan J. B. Zaleskiego) przybył do Paryża również dopiero z końcem października, jeżeli nie później (J. B. Zaleski. *Koresp*., II 371).— Adresant nie wymieniony, ale jest nim prawie napewno Antoni Zaleski, malarz i długoletni przyjaciel Norwida. W zażyłych stosunkach byli we Francji 1843 r. (zob. *Pismo Zebrane, E*. 257), później—jak widać z listu — w Rzymie. W r. 1858 A. Zaleski krzątał się koło zebrania i wydania pism Norwida; zob. *Testament literacki C. Norwida* wyd. dr. T. Przypkowski, Kraków 1935.

2. Do J. B. Zaleskiego

Rzym (grudzień) 1847

Nieskończenie dziękuje za pośrednictwo, jakie raczyłeś wziąść w przesłaniu wiadomego przedmiotu, co też ostatecznie załatwiłem. Potem cierpiący byłem bardzo, a potem zatrudniony, wyjeżdżałem wreszcie do Neptuna, aby zmienić powietrze, co mię zwykle odtrzeźwia.

Rzym jest zawsze jak pierwej; zdaje się on w szczegółach to wykończać, co zakreślił w ogóle i czego prawie świadkiem byłeś; — na narysowaną nagle gwardję włożył teraz kolory, municipia procesją oprowadził, w bareljefy tłumu się grupując, i spogląda w stonę Neapolu, albo ku północy, skąd jednakże nic wyraźniejszego nie nadbiegło. Wieści mnóstwo, ale nie burzliwych. Niedawno gawiedź spalić chciała przędzalnie wełniane, a radykalni na drukarnię (gdzie przeciw nim pisano) bezrozumnie się rzucić, — co jednak w gruncie nic nie znaczy. Jedno i drugie przytłumiono, a oba te zamachy miejscowego życia mieć nie mogą; raz, że trudno pojąć progresistów, drukarnię burzących, drugi raz, iż lud włoski nie domagać się pracy i jej szukać, ale od niej wymówićby się wolał. Są to tedy podmuchy jakieś sztuczne.

Co do Jezuitów, ci są bardzo znienawidzeni u pospólstwa W Piemoncie młodzież się zarzekła, iżby nie żenić się z dziewkami, na których wychowanie księża owi wpłynęli, ku czemu nawet towarzystwa ciche poformowano. Monopolium świętości, które zdaje się zakład ten cechować,

zirytowało masy dolne, pod tę porę o życie wołające. Sądzę wszakże, iż skoro Ojciec Święty się utrzyma, lub że w miarę jak będzie się utrzymywał, nienawiść przeciw Jezuitom róść też będzie gwałtownie, bo lud ma ślepe przekonanie, że to tama jedyna dla Piusa.

Po rogach ulic Neapolu manifestację rozlepiono, brukowym stylem napisana, ale z pewnym rozumem; — lud oświadcza królowi powolność swą, jeżeli zmiany potrzebne uczyniwszy, więźniów także wypuści;—że się czuje bardzo poniżonym w obliczu Europy, ponieważ jego naczelnicy (rząd) dał dowód obawy i niepotrzebnie się uzbroił; — że się także czują poniżeni jako stworzenia boże, gdyż takich środków się chwycono, jakich nie przeciw ludziom należałoby użyć etc. Że nareszcie to ma już posłużyć za ostateczny dowód, iż lud sposoby pogodnemi rad był wszystko załatwić.—O cholerze jeszcze tu nie słychać, lecz ku Polsce pono się przybliża.

U nas bieda jak zawsze, na polu myśli jednak czyściej i kilka fenomenów (acz początkowych bardzo) poruszyło martwe morze ducha. Kwestja chłopów jest jednym;— wiele się broszur pokazuje, na różny sposób traktujących o tym samym przedmiocie. Niektórzy utrzymują, że lepiej, aby pracowano, robiono, niż pisano. Jest to jedna z śmieszności nam właściwych. Kwestja własności jest ogólna, — wiele osób u siebie pod tym względem coś robi, ale te przecież nie na chmurach niepołączonych z sobą żyją, a chłop w Polsce ma prawo z miejsca na miejsce się przenosić,— niechże tedy i ideje się przenoszą; to wywrze potem wpływ, gdy przyjdzie do ostatecznego tych pojedyńczo opracowanych części porozumienia się. Ale bo zawsze są formuły, co tak krążą po kraju jak te stare talary, o których Mickiewicz, do krytyków i recenzentów pisząc, wspomniał.

Co do mnie, jestem najszczęśliwszy, ilekroć widzę wielostronne, choćby nieharmonijne jeszcze głosy. Pan Bóg jest nad tem wszystkiem, który założył wód granice i przepaści kołem pozataczał. A podobno najgorzej, kiedy apatja się rozgości, chociażby w karbach jaknajskładniej określonych linjami.

Śmiem załączyć rękopism, który jeśli pozwolisz, ażeby wyszedł z dedykacją, będzie mi to w drodze błogosławić i pocieszy młodych przyjaciół moich w Polsce i zobowiąże mię na przyszłość, ażebym wstydu Ci nie zrobił. Mam rzeczy poważniejsze, ale chciałbym pierwej jako prolog tę nowelkę drukować. W takim razie zechciej ją odesłać z listem, który załączam. Jeżeli zaś osądzisz, iż jest nadto mierna i że nie może mi posłużyć, ażebym tym sposobem do brzmień, jakich używam, przygotował ucho, nim nadeślę *Patkula* i t. d., — to wyjmij, proszę, dedykację i Chojeckiemu tak odeślij, zawsze z listem, który Ci załączam, na którym adres także znajdziesz. Radbym, żeby to wyszło tak jak *Psalmy* Zygmunta, bo też niewiele większe.

Potrzebuję n a g ł o s coś powiedzieć, jak ten, co w głuchej samotności upuszcza słowo, żeby przecież głos człowieczy usłyszeć.

Zygmunt jeszcze nie przybył; polonja nie jest bardzo liczna.

Ściskam Ciebie, Szanowny i Kochany, i całuję Cię w ramię, bo pisać dzisiaj już nie mogę; od kilku czasów dziwne mię znużenia napadają. Pani i panu Józefowi łączę moje ukłony. Niechaj Ci Pan Bóg błogosławi za Twoje dobre serce dla mnie, który umiem tak mało się zawdzięczyć.

Jeżelibyś raczył co poprawić, to zrobisz największą mi przyjemność, choćby każdą kartę przemazując.

U w a g a w y d a w c y: Autograf, bez adresu i podpisu, w Bibl. Jagiel., wśród korespondencji J. B. Zaleskiego. Dwa drobne urywki z niego (o „nowelli") przytoczył Krechowiecki (I 71). List jest z końca grudnia, skoro Zaleski w liście z 27.I 1848 r. dziękuje za przysłany z nim utwór z dedykacją jako za „upominek... przy tym Nowym Roku" (*Koresp.* II 87). Tegoż dowodzi wzmianka w liście o Krasińskim, który stanął w Rzymie 30 grudnia 1847 r. Załączony rękopism zawierał *Wandę* (pierwszą redakcję); szeroko utwór ten, właśnie nadesłany, omawia Zaleski w liście wspomnianym. Norwid zdaje sprawę z fermentu rewolucyjnego, w jakim żyły Włochy; właśnie w grudniu 1847 r. żywioły liberalne Włoch wystosowały zbiorową petycję do Ferdynanda II króla neapolitańskiego o nadanie konstytucji. O wybuchach nienawiści przeciwko jezuitom podobnie informuje Wł. Zamoyski (*Jenerał Zamoyski*, V 50).

Z TEKI POŚMIERTNEJ MARYLI WOLSKIEJ

MYŚLI WYBRANE

Kto jest zaślepiony, nie może mieć zapatrywań.

Gdy się ludzie przestają z sobą znać, dzieje się to wówczas, gdy się poznali za dobrze.

Od zamilczanych prawd, których mędrzec nie mówi nikomu, zaczynam już dostawać pypcia.

Samotność. to jest interes, do którego nie można przystąpić z próżnemi rękami.

Pan Jezus dlatego urodził się żydem, ponieważ nawet Bóg większego upokorzenia nie umiał sobie wymyślić.

Gdyś kogo gdzie zaprotegował, bądź pewnym, że podziękuje za to komu innemu.

Czy rzuci kto do wody djament, czy grudę błota, powierzchnia wygładzi się tak samo.

Kobieta, to pierwszy, najzłośliwszy nowotwór na świecie.

Czasem tracą ludzie rozum ze szczęścia, ale czasem szczęście z rozumu.

Ludzi warto poznawać choćby dlatego tylko, żeby wiedzieć dlaczego ich znać nie warto.

Nie każdy kto ma chorą wątrobę, może być Prometeuszem.

Więcej w Polsce ludzi niezwykłych do niczego, niż zwykłych do czego.

Zdarza się czasem głupota tak wielka, że jest już poniekąd mądrością.

Niepodobna być szczerym, jeśli się chce wzbudzać zaufanie.

Ja dużo gadam, ale mało mówię.

Żeby poznać cudzy rozum, trzeba mieć najpierw swój własny.

Krytyka, to często pomsta umysłów bezpłodnych nad twórczemi: „Nie mogę wymyślić, więc bodaj zwymyślam".

Zdarzają się w świecie sztuki ludzie, którzy mają wielką przyszłość... za sobą.

Nie wszystko się świeci, co jest złotem.

Więcej trzeba rozumu żeby dobrej rady posłuchać, niż żeby ją dać.

Słomiany ogień piecze tak samo, jak płomienie grubodrzewu.

Powieść może być zła, ale książka dobra.

Dawniej pisali mądrzy, a czytali głupi. Dziś poznać głupiego po tem, że pisze, a mądrego po tem, że nie czyta.

Okolica równinna nudna jest jak żywot człowieka poczciwego.

Pokorny... jak kuśnierz na wiosnę.

MARYLA WOLSKA

NA WIDOWNI

98% — Antysemityzm i filosemityzm w Polsce — Źródła i charakter naszego filosemityzmu — Wnioski, które należy wyciągnąć.

LWOWSKI miesięcznik „Sygnały" jest — po „Wiadomościach literackich" oczywiście! — jednem z bardziej interesujących źródeł informacyj o nastrojach i prądach, jakie się szerzą dziś wśród żydowskiej sfery inteligenckiej w Polsce. Najnowszy, lutowy zeszyt, poza wierszowanemi utworami Lejwika, Hollendera, Arona Cejtlina, Heszelesa, poza rozprawką o początkach poezji żargonowej pióra Debory Vogel, — przynosi artykuł p. Stanisławy Blumenfeldowej p. t. „Zagadnienie żydowskie w Polsce", a w nim zasługujące na uwagę stwierdzenie:

„Antysemitami nie są w Polsce tylko ci biedni, obałamuceni chłopcy, którzy biją swych kolegów żydowskich na uniwersytetach, nie są tylko endecy i oenerowcy. Antysemickiem jest całe polskie społeczeństwo w 98%"

Pomińmy ów tkliwy, nieomal macierzyński ton („biedni, obałamuceni chłopcy"), nie chcemy wdzierać się do strefy osobistych czysto uczuć autorki — w jej wywodach zaciekawia nas to jedynie, co posiada znaczenie ogólniejsze, tak objektywne, że sama p. Blumenfeldowa określa rzecz przy pomocy rachunku procentowego: „Antysemickiem jest całe polskie społeczeństwo w 98%" Trafność tego spostrzeżenia nie ulega wątpliwości. I dlatego nad faktem powyższym pożytecznie jest zastanowić się nieco dokładniej.

Nie chodzi tutaj o analizowanie motywów tej powszechności niechętnego wobec żydów nastroju: wyjaśniano je niejednokrotnie, zjawisko zresztą jest — w dzisiejszym układzie stosunków — tak zrozumiałe, że rozwodzenie się na temat jego przyczyn nie wydaje się ani szczególnie zajmujące ani potrzebne. Więcej o wiele interesować musi zagadnienie odwrotne: czem tłumaczyły się w narodzie polskim prądy filosemickie, doniedawna przecież będące jeszcze czemś realnem, tak realnem, że inteligentniejsi nawet politycy żydowscy nie chcą pogodzić się we własnem przekonaniu z faktem całkowitego i niepowrotnego już obecnie ich zaniku. Polski filosemityzm, już przez to samo, że dziwniejszy, bardziej paradoksalny pod każdym względem anieżeli polski antysemityzm, — żywiej też oczywiście zaciekawiać musi myśl badawczą: czem on był, co sprawiło, że się zrodził, i wobec tego, czy w dzisiejszem, zmienionem położeniu naszem są lub mogą powstać warunki, by się odrodził?

Istotnie, ów filosemityzm polski był czemś nader charakterystycznem i osobliwem. W jego dosłownem znaczeniu: sympatji do żydostwa (zjawisko anologiczne do frankofilizmu, anglofilizmu itd.) w dawnej Polsce nie był spotykany zupełnie: nikomu przecież „Moszko" nie wydawał się przedstawicielem wysokiego typu cywilizacji, wzorem kultury, dostojności ideału życiowego, szlachetności obyczaju. Dopiero w epoce porozbiorowej, żyd zaczyna być traktowany w literaturze z rewerencją, jego poniewierkę w diasporze zestawia się np. z niedolami naszej emigracji (skądże przyszłoby na myśl takie porównanie dawniej, w dumnej i potężnej Rzplitej?!). Ci i owi pragną widzieć w Izraelu sojusznika, gdyż tak jak my jest rewolucyjny, niezadowolony...

Ale i wówczas jeszcze ta postawa filosemicka pozostaje czemś jakby narzucanem sobie, wyrozumowanem, nie ma cech sympatji prawdziwej, bezpośredniej. Nawet najbardziej filosemiccy pisarze nie interesują się żydem rzeczywistym, żydostwo, takie jakie jest, nie zaciekawia ich bynajmniej i nie pociąga, wręcz przeciwnie, kiedy chcą odmalować dodatnie typy z ghetta, odruchowo pozbawiają je właściwych im cech rasowych, jakgdyby czując, że za tę cenę jedynie mogą obudzić dla nich odrobinę przychylności u czytelnika. Jakże znamienny jest pod tym względem ów słynny chałaciarz-patrjota z noweli „Srul z Lubartowa", gdzie autor z przedstawiciela tego ludu od tysiącleci miejskiego, ludu księgi i abstrakcyjnych dociekań, czyni nieomal Zygfryda z puszcz północnych, rozumiejącego mowę ptaków i usychającego z nostalgji za ich świergotem! Zresztą, czyż nie stwierdzamy tego ustawicznie, z codziennych doświadczeń, że najbardziej przekonany filosemita, gdy chce pochwalić któregoś z żydów, wzbudzić dla niego uczucia życzliwości i zaufania, oświadcza zaraz: „On wcale nie ma w sobie żadnych cech żydowskich! On nawet zewnętrznie, proszę państwa, zupełnie właściwie nie jest do żyda podobny..."

Otóż tak przedstawiał się, taką miał treść polski filosemityzm w dobie niewoli, kiedy poczucie własnej słabości skłaniało nas do unikania jakichkolwiek zadrażnień z żydami, ów filosemityzm, który — rzecz charakterystyczna, ale jakże zrozumiała! — najwyższy stopień nasilenia osiągnął po klęsce powstania styczniowego, w dobie najgłębszego upadku narodowych aspiracyj, gdy najmniej mieliśmy wiary we własną wartość, upokorzeni świadomością poniżenia i bezsiły. Jakiż mógłby być ten filosemityzm dziś, gdy odbudowa Państwa wywołała w nas nowy przypływ narodowej energji i dumy, gdy rosnące poczucie cenności tego co polskie, musi — z natury rzeczy — powodować coraz bardziej krytyczny stosunek do tak pod każdym względem odmiennych od naszych, tak z innego całkiem świata pochodzących pojęć, instynktów, obyczajów żydostwa!

„Antysemickiem jest całe polskie społeczeństwo w 98%" — stwierdza nie bojąca się spojrzeć prawdzie w oczy p. Blumenfeldowa, której odwaga publicystyczna tembardziej zasługuje na pochwałę, że żydom wogóle rzadko bardzo świta w umyśle przypuszczenie, iż towarzystwo ich mogłoby być przez kogokolwiek uznane za nieprzyjemne. Ale ta śmiałość intelektualna — obowiązuje. Jeśli się widzi, że 98% Polaków jest usposobionych niechętnie do Izraela, toż trzeba uznać również, iż ich poglądy muszą w państwowem i społecznem życiu Polski znaleźć — i to w niedługim czasie — pełne zastosowanie. Trudno przypuścić, by wola 98% Polaków nie okazała się w Państwie Polskiem „miarodajną". A z tego faktu można już i należy wyprowadzić odpowiednie wnioski praktyczne.

Oczywiście, nie jesteśmy tu powołani do udzielania jakichkolwiek rad społeczeństwu żydowskiemu, ale poczucie humanitaryzmu, względem każdego człowieka obowiązujące, nakazywałoby zwrócić uwagę, że jednak w lepszem od reszty swych współplemieńców położeniu znaleźli się ci żydzi, co opuścili Niemcy przed rokiem 1933, co opuścili Hiszpanję przed rokiem 1492... Trafna ocena położenia przez publicystów tylko wtedy staje się naprawdę użyteczna, jeżeli doprowadzić zdoła do konkretnych, konsekwentnie wypływających z niej postanowień.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

DRASTYCZNEGO ZAJŚCIA WIDOWNIĄ stał się Sejm. Przedstawiamy je w streszczeniu, posługując się artykułem p. W. Z. w „Głosie Narodu".

„Sprawa dotyczy gospodarki lasów państwowych. Nie od dziś się o niej mówi. Wpływała już w poprzednich Sejmach na porządek dzienny. Ale zawsze — bez skutku. Główny dyrektor lasów państwowych, p. Loret, przeciw któremu szły właściwe ataki, za każdym razem znajdował obrońców. I trwał na swem stanowisku.

W tym roku atak był groźniejszy, niż dawniej, i lepiej, niż dawniej, przygotowany. Popularna dziś walka z etatyzmem, skłonność obecnego rządu do ustępstw na rzecz „liberalizmu" i „inicjatywy prywatnej" pozwalały spodziewać się, że tym razem rząd nie zechce bronić p. Loreta. Tembardziej, że jego gospodarka jest istotnie bardzo — szczególna.

Referent pos. Hutten-Czapski poddał ją bardzo krytycznej, miejscami nawet miażdżącej, krytyce. Stwierdził, że lasy państwowe przynoszą około 6 milj. złotych deficytu, gdy n. p. lasy państwowe Rzeszy Niemieckiej dały w ub. roku 50 milj. marek dochodu. Dla przykładu podał zestawienie bilansu poznańskiej dyrekcji lasów państwowych z bilansem prywatnego ośrodka leśnego na terenie Wielkopolski. Z zestawienia wynikło, że ta poznańska dyrekcja lasów państwowych powinna była dać $7^1/_2$ milj. zł. zysku, podczas gdy dała tylko — $1^1/_2$ miljona. Pos. Hutten-Czapski zakończył wnioskiem o odrzucenie planu finansowego głównej dyrekcji lasów państwowych na rok 1936/7.

Przewodniczący, pos. Byrka, nie poddał tego wniosku pod głosowanie.

I teraz zaczyna się „dramat"... Zdarzyło się, że w kuluarach Sejmu zaczeli się na ten temat przegadywać dwaj posłowie: p. Kozicki i p. Kamiński. Pierwszy powiedział drugiemu: „W lasach państwowych dzieją się świństwa i złodziejstwa". I jeszcze: „Nie wolno o tem mówić. I pan wie, i ja wiem, i my wszyscy wiemy, dlaczego o tem nie wolno mówić".

„Świństwa i złodziejstwa"... „Nie wolno o tem mówić"... „Wszyscy wiemy, dlaczego o tem nie wolno mówić"..

Tak sobie mówili dwaj posłowie. Prywatnie. W korytarzu sejmowym... Rzecz jednak doszła do uszu p. ministra Poniatowskiego. Jak? W drodze „meldunku", który mu złożył jeden z urzędników ministerstwa, tak sobie — przypadkiem — obecny wówczas na korytarzu.

Zareagowali podwładni p. Loreta i w liście otwartym do p. Kozickiego zażądali wyjaśnienia, jakie to „świństwa" miał na myśli, i z jakiego powodu „nie wolno o nich mówić".

Zareagował i p. min. Poniatowski w liście do p. marsz. Cara, skierowanym jednak do przewodniczącego komisji budżetowej, p. Byrki. Przeciw tej formie komunikowania się rządu z Sejmem zastrzegł się ostro p. Car, i w liście, który polecił odczytać na komisji, zwrócił p. min. Poniatowskiemu uwagę, że „nie prowadzi do celu" droga obrana przez niego, mianowicie opieranie się na „meldunku" podwładnego urzędnika o rozmowach prywatnych w Sejmie".

Tak wygląda zdarzenie. Sprawa, jak widzimy, skierowana została na drogę formalną i przybrała zewnętrznie postać zatargu między Sejmem i Rządem. A przyczyniła się do tego owacja urządzona przez posłów sejmowych marszałkowi Carowi. Narzucono opinji schemat taki: z jednej strony Sejm (pułkownikowski) stojący w obronie swoich praw, a z drugiej — ministrowie (Poniatowski), kwestjonujący słuszność polityki etatystycznej (pułkownikowskiej). Zatarg polityczny, bodaj ustrojowy (!). Działają skutecznie czynniki, którym zależy na zagmatowaniu sprawy.

Zdrowy rozsądek mówi tak: prawda była tłumiona, ktoś ją (korzystając z przypadkowego podsłuchu) chciał wydobyć na jaw, a wtedy ktoś równie możny stanął temu na przeszkodzie i dochodzenie prawdy udaremnił. Boć rezultat jest taki: „końce w wodę", jak mawiają Rosjanie.

Podział na obozy jest bardziej rzeczowy i sięga z gospodarczej w moralną dziedzinę.

NAUKA i LITERATURA

PAMIĘCI JANA I MIECZYSŁAWA KARŁOWICZÓW

W DNIU 8 lutego r. b. świat naukowy i artystyczny Warszawy poświęcił parę podniosłych chwil rozpamiętywania zasług Jana Karłowicza i jego syna Mieczysława. Związane to było z uroczystością wmurowania tablic pamiątkowych na ścianie domu, w krórym mieszkali ci zasłużeni dla nauki i sztuki polskiej twórcy.

Inicjatywę utrwalenia tej pamiątki dało Tow. Muzyczne, któremu Mieczysław Karłowicz ten dom właśnie, będący jego własnością, zapisał, dom przy placu zwanym za życia Karłowiczów, placem Zielonym, obecnie placu Dąbrowskiego. Inicjatywę Tow. poparły Uniwersytet i Tow. Krajoznawcze. Aktu poświęcenia dokonał ks. Nowacki, znany miłośnik muzyki i twórca chórów. On też pięknie przemówił do zebranych, podnosząc, jak ściśle w ojcu i synu, dzięki wysokiej kulturze umysłowej, łączyła się myśl naukowa z uczuciem estetycznem.

W imieniu Tow. Muzycznego przemawiał cioteczny brat Mieczysława K., Henryk Śniadecki. O Janie K. mówił pochwalnie i z miłością prof. Szober.

Wieczorem tego dnia w gronie miłośników muzyki w sali Tow. Muzycznego (im. Karłowicza) odbył się koncert, na którym uczniowie szkoły muzycznej i artyści tej miary, jak wiolonczelistka p. Umińska, wykonali szereg nieznanych dotąd i nie wydanych młodzieńczych utworów Mieczysława K.: skrzypce, wiolonczela, fortepian, pieśni. Konferencję wygłosił i utwory objaśniał prof. Witold Maliszewski.

Należał się Karłowiczom ten akt wdzięcznej pamięci ze strony społeczeństwa. Były to osobistości twórcze dużej miary i wielkiego znaczenia jako światła na firmamencie Polski w tej ciemnej dobie niewoli.

Jan Karłowicz, urodzony 28 maja 1836 r. (teraz właśnie setna rocznica jego urodzin) w pow. Trockim, gdy po długich studjach zagranicą przybył w 1887 r. do Warszawy, stał się tutaj (ze swoją wiedzą, kulturą i dobrą wolą obywatelską) ośrodkiem życia umysłowego. Stał się prywatną akademją naukową. Muzykalny, historyk, językoznawca, folklorysta na miarę światową, zespolił tutaj w Warszawie tych ludzi, którzy zdolni byli położyć podwaliny nowoczesnej pracy ściśle naukowej tam, gdzie dotąd kwitło amatorstwo. Mamy na myśli językoznawstwo i folklor.

Ująwszy w rękę w r. 1888 kwartalnik etnograficzny „Wisłę”, stworzył nową epokę badań etnograficznych. Redaktorem jej był do końca 1899 r. Ludzie nauki z całego świata pozostawali z „Wisłą” w stosunkach. On też dał inicjatywę inwentaryzowania języka polskiego w słownikach i potrafił zespolić w Warszawie siły, jakie w Polsce wówczas były. Jego to zabiegom zawdzięcza początek wielki „Słownik języka polskiego“ (Karłowicz, Kryński i in.), którego druk zaczął się już w r. 1898. Sam na swoją rękę wydawać począł wielkie dzieła swoje: „Słownik wyrazów obcego pochodzenia” (1894), oraz „Słownik gwar polskich“ (1900), doprowadzony do lit. O (1900), a dokończony przez prof. Łosia. Zmarł 14 czerwca 1903 r.)

Mieczysław Karłowicz, urodzony w Warszawie 11 grudnia 1876 r., zginął w Tatrach pod lawiną 8 lutego 1909 r. Dlatego w tym dniu odsłonięto tablicę pamiątkową. Czytelnicy znają z koncertów jego twórczość, więc nie mamy potrzeby wymieniać dzieł jego. Tworzył niedługo od roku zdaje się 1894 do 1909, ale wiele stworzył. Typ ascetyczny, fizycznie z wiekiem coraz więcej niedomagający, odradzał się w Tatrach, gdzie w absolutnej ciszy na szczytach wsłuchiwał się w wieczność. Samotny i smutny odczuwał jak nikt tragizm znikomego bytu.

Upamiętnił się jako artysta w dziełach swoich, do posągu człowieka idealnego, jak go sobie epoka wyobraża, dodał ze swoich bogactw indywidualnych parę pięknych rysów. Szedł do szczytów twórczości przez wysoką kulturę pracy i rygoru duchowego. W.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Nie można powiedzieć, by wiedza o teatrze — teatrologja — była w Polsce powszechna i aby literatura z tej dziedziny przedstawiała się imponująco. Teatr i w skali światowej, i w skali narodowej, i z punktu widzenia teorji i z punktu widzenia dziejów czeka jeszcze na swoich pisarzy. To, co podziśdzień o nim napisano, to bez wyjątku niemal — jałowizny (np. zajrzyjcie do Brumera!) lub werbalistyczne młocki w mętnym stylu „pomirowskim” (*vide*, Orlicz).

Lepiej już ma się rzecz z pamiętnikarstwem teatralnem, ściślej: autorskiem. Ludzie z tamtej strony rampy pisują o swoim fachu, o swoich i... o sobie chętnie i z dużym temperamentem, weźmy Skibińskiego, wielką Modrzejowską, Stępowskiego, po którym syn, poeta, wziął pasję do pióra, Rapackiego — senjora. No, i naturalnie, przezacną p. Lucynę Kotarbińską, która, pisząc o działalności teatralnej ś. p. męża, pisała — *entre nous soit dit* — o sobie.

Pomnożyło się teraz to pamiętnikarstwo o wydaną u Hoesicka rzecz Pawła Owerłły p. t. „Z tamtej strony rampy”, wzbogaciło się walnie i żywszego nabrało rumieńca, autor bowiem lekką ręką przesypał przez karty najostatniejszy lat pięćdziesiątek (1882 — 1932). Daleko pamiętnikom Owerłły do czystej literatury, ale tak być powinno; posiadają one niemniej to, co przy naiwnej prostotliwości formy rozstrzygnąć może właśnie o ich należeniu do literatury: niefałszowaną, mocną, ba! nieraz i dosadną barwę i głęboki ton entuzjazmu, świadczący, że są gestem odwewnątrz człowieka, który, że użyję określenia redutowego, namiętnie i całkowicie przeżywa swój teatr. A przytem Owerłło, jako człowiek pełny, uważa służbę sztuce za służbę Polsce. Nie pisze o tem, lecz to wprost przebija poprzez tekst jego wspomnień. Wyczucie rasowości polskiego aktora ma fenomenalne i daje mu wyraz nawet tam, gdzie przytacza anegdoty z... życia prywatnego! Wreszcie — złote serce — nic złego, ba! cienia złośliwości o kimkolwiek, choć często słowa prawdy, twarde, surowe.

Czyta się książkę Owerłły z prawdziwą satysfakcją.

(J. K.)

*

Przydałoby się naszej literaturze naukowej jakie porządne a systematyczne studjum o dziejach polskiego rymu. Teraz szczególnie takie studjum byłoby na czasie, gdy dawne wszechwładztwo rymu w poezji zaczyna ustępować miejsca modzie asonansów. Pamiętamy gorącą a ciekawą dyskusję, jaka się na temat tych ozdób wierszowych toczyła na łamach „Myśli Narodowej” między S. Pieńkowskim, P. Grzegorczykiem, M. Pawlikowskim i Wł. Tarnawskim. Dyskusje podobne toczyły się i gdzieindziej (np. między L. Okołów-Podhorskim a Nitschem), a pozatem wypowiadali się na tenże temat krytycy i poeci, jak A. Szczerbowski, T. Peiper, Czekańska Heymanowa, A. Lange. Sięgnięto i do początków rymu; po K. Morawskim i E. Porębowiczu zajęli się tą sprawą ks. B. Gładysz (Rym w poezji Seduliusa) i J. Birkenmajer. Prof. Łoś w swem cennem dziele „Wiersze polskie“ nie przedstawił sprawy rymu ani wyczerpująco ani systematycznie, dał jednak taką obfitość materjału, że z wdzięcznością korzystać z niej będzie każdy z następców.

Do tych następców należy Marja Grzędzielska autorka rozprawy „Rym klasyczny polski i początki rymu romantycznego” (Lwów, nakł. Przeglądu Humanistycznego). Za przedmiot swych obserwacyj obrała moment przełomowy w dziejach nietylko naszej poezji, ale i naszej, wersyfikacji chwilę, gdy gasł klasycyzm, a rodził się romantyzm polski. Wtedy to w dziedzinie rytmiki polskiej dokonywały się poważne zmiany i w miejsce wyłącznego wpierw wiersza sylabicznego zaczął się jawić wiersz toniczny czyli akcentowy, obok rymu żeńskiego zaczął (dzięki inicjatywie Królikowskiego) zyskiwać prawo obywatelstwa rym męski.

Wiersz klasyczny osiągnął swój punkt szczytowy — wedle sądu samych klasyków w „Barbarze“ Felińskiego. Jego „aleksandrynem“ zajął się przed kilkunastu laty K. Wójcicki w bystrej rozprawie, opracowanej z godną tematu skrupulatnością. P. Grzędzielska nawiązała wprawdzie w niejednem do rozprawy Wójcickiego, ale w rzeczach najistotniejszych poszła drogą odrębną. Nie poprzestała na określeniu, czy jakiś rym jest gramatyczny, rzadki, banalny, charakterystyczny czy pospolity, ale też zajęła się jego stanowiskiem w kontekście. Albowiem „nie można mówić o objektywnej wartości rymu“. Istotnie. Można być grafomanem, używając rymów wyszukanych, można być genjalnym poetą, używając rymów prostych, nawet gramatycznych (*exemplum*: Jan Kochanowski) Słusznie i na to zwraca uwagę autorka, że u Mickiewicza, w miarę postępu lat i twórczości, „coraz mniej będzie roboty i troski, coraz więcej odblasku poezji“. Bo warto też zacytować jego słowa z improwizacji: „Ja rymów nie dobieram“...

Pracy p. Grzędzielskiej należy się wielkie uznanie. Rażą tylko pewne wyrażenia wzięte z poetyki niemieckiej np. „*metrum*“ w znaczeniu wiersza przyciskowego (tonicznego).

(J. B.)

*

W wydawanej przez Akademję Umiejętności „Bibljotece Pisarzów Polskich”, obejmującej różne sędziwe zabytki mowy polskiej, po raz pierwszy uzyskała miejsce kobieta, a raczej dwie kobiety, bo autorka i wydawczyni. Wydawczynią jest p. Ida Kotowa, autorką Anna Stanisławska, pierwsza podobno pisarka polska. Pierwsza oczywiście z wieku i chronologji, bynajmniej nie z urzędu. Albowiem zacna ta kobiecina, która szczęśliwie pogrzebała dwóch małżonków, a z jednym się rozwiodła, może miała przeróżne inne zalety, ale tego, czego się przedewszystiem od literata wymaga — t. j. talentu— nie miała za grosz. Jej przydługi poemat pod przydługim tytułem „Transakcja albo opisanie całego życia jednej sieroty“ słusznie określony został przez samą autorkę jako „żałosne treny“. Istotnie żałosne są te wierszydła, tak żałosne, że nawet nazwa „częstochowskich“ byłaby dla nich pochlebstwem; albowiem wydany w tejże „Bibljotece Pisarzów“ poemat ks. Walentego Odymalskiego, częstochowski poemat „Oblężenia Jasnej Góry Częstochwskiej pieśni XII“ jest wobec owej „Transakcji“ istnem arcydziełem. Pomimo całej żałości, z jaką Stanisławska opowiada swe dzieje, można boki zrywać ze śmiechu, czytając o jej „strapacowanem sercu“, o „swacie na oko ślepym“, o „traktamencie z lamentem“, o „mgleniu bez pamięci“ i tysiącznych innych przygodach, żywcem przypominających sławetną „Powieść o Banialuce“.

Rzecz tę wydano z pietyzmem wzorowym, żeby nic nie uronić z tego skarbu. Pietyzm ten godzien uwagi w czasie, kiedy tak bezkrytycznie i niechlujnie wydaje się pisma Żeromskiego, Sienkiewicza, Reymonta. Dalibóg, nasi wydawcy większą czcią otaczają starych grafomanów niż współczesnych wielkich pisarzy! (J. B.)

*

Gabinet Filogiczny Tow. Naukowego Warszawskiego w wydawnictwie „Bibljoteka Pisarzy Polskich 2-ej połowy XVIII wieku i 1-ej ćwierci XIX w“, po wydanych parę lat temu „Pismach estetyczno-krytycznych Kazimierza Brodzińskiego” (Nr. 1.), wydał świeżo „Pisma zebrane“ (Nr. 2.) Tymona Zaborowskiego w opracowaniu Marji Danielewiczowej. (Warszawa 1936 br. Z zasiłku Funduszu Kultury Narodowej. Str. 623).

Wydanie obecne jest próbą ogarnięcia całości docho-

wanej spuścizny pisarskiej T. Zaborowskiego, z której wyłączono jedynie jego korespondencję. Spuścizna ta, w drobnej tylko części ogłoszona drukiem, ocalała dzięki rodzinie oraz paru przyjaciołom poety i w autografach bądź kopiach znalazła się w zbiorach Ossolińskich, XX Czartoryskich w Krakowie, w Bibljotece Baworowskich i t. p.

Pani Marja Danielewiczowa, autorka studjum pt. „Tymon Zaborowski. Życie i twórczość", (Warszawa 1933 r.) zajęła się opracowaniem pozostałej po „wieszczu Miodoboru" spuścizny. „Dla współczesnych" — powiada wydawczyni — „był on twórcą niezwykle popularnym i cenionym, drukowanym mimo wiedzy autora, przepisywanym, recytowanym z pamięci. Był w powszechnem pojęciu: piewcą wolności i ziemi rodzinnej". Autor „Dum podolskich", który tworzył dla najbliższych, dla garstki współpowietników i sąsiadów (takich w owych czasach było dość dużo na Podolu), doczekał się dzisiaj — po stu zgórą latach od swojej śmierci — wydania ogromnego tomu swoich utworów, które wszakże przedewszystkiem historyków literatury mogą żywiej zainteresować. (W. J.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

NOWE STOWARZYSZENIE GRAFIKÓW

W NASZEM życiu artystycznem niemałą rolę odgrywają stowarzyszenia powstałe na terenie Akademji Sztuk Pięknych w Warszawie. Między niemi stowarzyszenie grafików „Ryt", założone w 1926 roku i skupiające, jak dotychczas, najwybitniejszych pracowników na tem polu, którzy swą działalnością nieraz dobrze przysłużyli się sztuce polskiej, w jej pokazach zagranicą, oraz kulturze plastycznej społeczeństwa w kraju. Od czasu założenia „Rytu" upłynęło dziesięć lat, w tym okresie powstały rozmaite nowe grupy artystyczne, ale „Ryt" wśród tych stowarzyszeń pozostał nadal jedyną reprezentacją zespołową grafiki.

Czemu to przypisać? Czyżby w Polsce zapanowała posucha na talenty graficzne? Nic podobnego. Polska grafika współczesna swym poziomem przewyższa znacznie poziom naszego malarstwa, a w Akademji na Powiślu pracownia graficzna jest równie czynna jak i pozostałe pracownie malarskie, lub rzeźbiarskie. Nie brak więc młodych, uzdolnionych rytowników, tylko poprostu tym ludziom dotąd nie przyszło jakoś do głowy, że można się zrzeszyć i w tej, najwygodniejszej w dzisiejszych warunkach, formie, zespołu artystycznego, brać udział w wystawach.

To też, jeśli po dziesięciu latach możemy zanotować powstanie dopiero drugiego (po „Rycie") stowarzyszenia grafików, rzadkość tego zjawiska w społeczności plastyków każe nam zwrócić nań baczniejszą uwagę. Ale nietylko niecodzienność podobnego zdarzenia—jak to zobaczymy poniżej—budzi nasze zainteresowanie. Nowe stow. art. grafików, pod nazwą „Czerń i Biel", które teraz urządziło swą pierwszą wystawę w Zachęcie, zdobywa nas odrazu jakością wystawionych prac. Jeśli się zważy, że ich bardzo młodzi i w kilku wypadkach nawet debiutujący autorzy dali ryciny, które i na wielkim pokazie międzynarodowym wstydu by nam nie przyniosły — trzeba będzie przyznać, iż w Polsce istnieje klimat wyjątkowo sprzyjający hodowli młodych talentów graficznych.

Wystawiającym patronuje mistrz Wyczółkowski, który jest obecnie profesorem wydziału grafiki warszawskiej Akademji, ale znaczną część studjów młodzi rytownicy odbyli jeszcze pod kierunkiem ś. p. Skoczylasa — stąd też zapewne na wystawie przeważa drzeworyt, który także poziomem góruje nad rycinami, wykonanemi w innych technikach. Stowarzyszenie jest niewielkie (zapewne z czasem się rozszerzy), ale każdy z wystawiających dał pokaźną liczbę prac. Zofja Fijałkowska, Janina Kłopocka i Fiszel Zybelberberg są drzeworytnikami; Bernard Frydrysiak uprawia techniki metalowe, a Sołtan Aleksander — litografję. Litograf, Sołtan, mieszczący się w ramach impresjonistycznego naturalizmu i suchorytnik Frydrysiak, impresjonista, zademonstrowali na tym pierwszym pokazie środki, jakiemi rozporządzają, oraz zdobyte umiejętności, dużej klasy, teraz swą twórczość poprowadzą zapewne w kierunku powiększenia własnej wizji artystycznej.

W drzeworytach pozostałych grafików ta wizja zarysowuje się już zupełnie wyraźnie. Temperament graficzny Fijałkowskiej jest nieco anglo-saskiej natury, nad rytownictwem tego rodzaju, nieraz zbyt oschłem, góruje nasza graficzka wyrazem swych prac, wyrazem o dużej rozpiętości. Jej „Zakonnice" mają dużo subtelnego nastroju, „Koncert" — akcenty dyskretnej groteski. Pozostałe ryciny, nieraz o charakterze studjum, odznaczają się bogatą i pomysłową fakturą. Traktowanie kształtu realistyczne.

Niezwykle uzdolniony grafik żydowski, F. Zylberberg, rodem z Płocka, najlepszy jest w serji widoków rodzinnego miasta. Ich technika, w ostatecznym efekcie nieco staroświecka, wykazuje duże wyczucie możliwości drzeworytniczych, bez jednoczesnego popisywania się wirtuozerją.

Na tle tych rycin, rzetelnych, spokojnych, trochę refleksyjnych i trochę konserwatywnych, nie przekraczających, bądźcobądź, granicy realizmu, o cechach, których z młodością raczej nie zwykliśmy wiązać, wyodrębnia się grafika Kłopockiej. Jej drzeworyty są szeroko cięte, dekoracyjne. Kształt ludzki został tu uproszczony do ostatecznych niemal granic. Doprowadzając formę do najbardziej syntetycznej lapidarności, pragnie zarazem artystka dać jej największą wymowność.

Dostrzegając naogół w pracach członków stowarzyszenia tyle realizmu, czy też naturalizmu, trzeba jednocześnie podkreślić, iż jest on jednakże daleki od załapywania w prostokąt ryciny przypadkowych wycinków natury, nie poddanych żadnej myśli kompozycyjnej.

Katalog wystawy, opatrzony oryginalnemi odbitkami z klocków drzeworytniczych, opracował pod względem graficznym i literackim Tadeusz Cieślewski syn, a wykonała ten piękny druczek Pracownia Graficzna Salezjańskiej Szkoły Rzemiosł.

WIKTOR PODOSKI

FILM

STYLOWY: „Katarzynka", reż. Herman Kosterlitz.

Jedna z najbardziej uroczych bajek filmowych o Kopciuszku. Surowy teoretyk sztuki filmowej powinien się gorszyć we mnie na widok tych „glicerynowych historyjek", ale jako zwykły śmiertelnik przyznaję się chętnie, że mam do nich słabość, zwłaszcza, jeśli są tak zręcznie, jak ta, zrobione. Cóż z tego, że w zakończeniu widzimy skojarzoną nieprawdopodobną parę: młodego, zamożnego birbanta i posługaczkę — przecież reżyser w tem miejscu — chciałoby się powiedzieć — spuszcza momentalnie kurtynę i nie potrzebujemy się dręczyć rozwikływaniem zagadki „spółżycia" takiej pary. Nieprawdopodobieństwa tego rodzaju, w komedjach opartych, bądźcobądź, na podpatrywaniu życia, spełniają podobną rolę, jak X w matematyce. Przypuśćmy, że X równa

się... przypuśmy, że staje się możliwą sytuacja w życiu absurdalna, i oto historja już się rozwija z kłębka zwanego scenarjuszem.

Rozwija się tu w sposób nader zręczny i dowcipny i wiele zabawności wynika nie z niewinnej mistyfikacji przebrania się pana za szofera, ale z pomysłu gatunkowo daleko szlachetniejszego: z przeciwstawienia sobie dwuch psychik — młodego lekkoducha z towarzystwa, bezkompromisowej uczciwości, zdrowego, chłopskiego rozsądku i szczerego serca. Bardzo sympatycznie została narysowana ta postać kocmołucha - posługaczki, młodej chłopki, która służy u bogatych państwa, żeby zebrać trochę grosza na krowę.

Zabawne momenty wyrastają w sposób naturalny z tła tematu i są z nim organicznie zrośnięte. Oczywiście wiele dowcipów mieści się w djalogach, ale nietylko w nich; ekran jest ruchliwy, tempo wartkie, a każdorazowa treść plastyczna ekranu żywa i zajmująca. Te wartości wizualne i wygrywanie rozmaitych fragmentów scenkami pełnemi charakteru, które i bez wyjaśnień słownych posiadają dostateczną wyrazistość, sprawiają, iż daleko mniej tu teatru, niż w pełnym typowych, teatralnych sytuacyj komedjowych filmie „Csibi“, z tą samą aktorką, Franciszką Gaal, w roli tytułowej.

— — — — — — — — — — — — — — —

P. S. Winienem czytelnikom wyjasnienie, dlaczego tak późno zdaję sprawę z filmu, wyświetlanego już kilka tygodni. Niestety, dyrekcje niektórych kin nie grzeszą zbytnią uprzejmością i nie kwapią się z ułatwianiem sprawozdawcom spełniania ich dziennikarskich obowiązków.

*

FILHARMONJA: „Karjera”.
Miły i pogodny, choć bezpretensjonalny, utwór, którego treść stanowi kanwę dla popisów znakomitej śpiewaczki, Marty Eggerth. Marta Eggerth jest zarazem dobrą aktorką i gra tu ze znanym komikiem filmów austryjackich, Slezakiem. W całość, pod względem nastroju zabarwioną dość jednolicie, niepotrzebnie wpleciono tylko historyjkę o międzynarodowym oszuście, którego biedną „ofiarą“ staje się spiewaczka. Nie wymagajcie od nas, żebyśmy w tem węszyli dramat.

KANDYD

ZMARLI

PIERRE DE NOLHAC

W KOŃCU stycznia zmarł w Paryżu, przeżywszy 76 lat, członek Akademji Francuskiej, P. de Nolhac, utalentowany poeta i jeden z wybitniejszych humanistów współczesnych.

Zasłynął zmarły w nauce jako badacz epoki Renesansu, której poświęcił długie lata skrzętnej pracy i większość swoich dzieł. Był to nietylko skrupulatny badacz erutyda, lecz i pisarz wytworny, subtelny wielbiciel piękna we wszelkich jego przejawach oraz formach. Prace Nolhac'a jak np. *„Pétrarque et l'humanisme“*, *„Erasme en Italie“*, *„La Bibliotèque de Fulvio Orsine“*, *„Lettres de Joachim du Bellay”*, *„Ronsard et l'humanisme”*, *„Le dernier amour de Ronsard”* i t. p.; przyczyniły się znakomicie do lepszego poznania początków Renesansu literackiego Włoch i Francji. Głęboka wiedza łączyła się w tych dziełach z twórczą myślą i wykwintnym smakiem.

Gdy po długoletnim pobycie w Rzymie, gdzie oddany był ulubionym studjom, powrócił do kraju, został powołany na stanowisko konserwatora muzeum w Wersalu, którego przez czas dłuższy był w końcu głównym dyrektorem. Tu się wszczął, pod wpływem otoczenia pełnego dziejowych i artystycznych pamiątek, drugi okres płodnej pracy Nolhac'a, której nauka zawdzięcza serję świetnych dzieł, dotyczących historji Wersalu. Wymieniamy tu główniejsze: *„La création de Versailles”*, *„Le château de Versailles sous Louis XV”*, *„Nattier, peintres de la cour”* etc. W ostatnich latach ogłosił książkę p. t. *„Trente Ans de Versailles”* i przygotowywał do druku dzieło o „Ronsardzie i jego przyjaciołach”, nad którem zaskoczyła go śmierć.

Zostało po nim parę zbiorów poezji (*„Paysages de France et d'Italie”*, *„Vers pour la patrie”*, *„Le Rameau d'Or”*) tchnących gorącem umiłowaniem przeszłości i przyrody dwóch krajów, spokrewnionych rasą i wspólną cywilizacją.

Pracował całe życie nad ich zbliżeniem na podstawie wspólnych tradycyj kulturalnych, i — jako założyciel oraz prezes komitetu *„France-Italie”* — położył w tej mierze duże zasługi. Był on także szczerym przyjacielem Polski, i, jeśli się nie mylimy, należał do członków zagranicznych naszej Akademji Umiejętności.

W. J.

JACQUES BAINVILLE

ZNOWU mamy do zanotowania ciężką stratę, jaką przed kilkoma dniami poniosło piśmiennictwo francuskie: oto po Bourget'cie i Nolhac'u przyszła kolej na J. Bainville'a, tak znacznie młodszego od nich, przeżył bowiem zaledwie 57 lat.

Zgon I. Bainville'a okrywa żałobą przedewszystkiem dziennikarstwo Francji, którego był prawdziwą chlubą, jak mu to przyznano niemal jednogłośnie, z powodu wyboru do Akademji Francuskiej.

Wszystko, co pisał Bainville—czy był to artykuł polityczny, czy też dzieło historyczne—miało na względzie poza ścisłem poinformowaniem czytelnika o tym lub innym fakcie, zorjentowanie go w ważnych zagadnieniach — politycznych, społecznych, umysłowych — chwili bieżącej oraz dopomożenie mu w snuciu wniosków, co do ewentualnych rozstrzygnięć owych zagadnień w przyszłości.

Ogromna wiedza oraz przenikliwość żywej myśli pozwalały mu nawet w codziennych artykułach politycznych które były ozdobą pism, szczycących się jego współpracownictwem (*„L'Action Française”*, *„Liberté”*, *„Candide”* i t. p.) wiązać trafnie przeszłość z teraźniejszością, oraz zarysowywać przyszłość.

Na wszystkiem, co pisał, widoczny jest szacunek dla rzeczywistości, t. j. dla tego co podlega zmianom zarówno jak i dla tego, co trwa i, zawsze, w tych lub innych okolicznościach, kieruje stale procesami życia zbiorowego.

Czujny i sumienny informator, wytrawny doradca, światły nauczyciel a w dodatku i świetny pisarz — takim był niezmiennie Bainville jako publicysta, a te przymioty zapewniły mu wysokie stanowisko w tej dziedzinie pracy publicznej.

Rozpoczął pracę dziennikarską w *„Gazette de France”* nie mając lat dwudziestu, a niebawem ogłosił swoją pierwszą książkę, poświęconą Ludwikowi II, królowi Bawarji, o której Ch. Maurras wyraził się w ten sposób: „Mając zaledwie dwadzieścia lat napisał „odręki”, to, co z trudem udaje się czterdziestoletniemu i b. utalentowanemu, mianowicie solidne dzieło historyczne“. Tego rodzaju „solidnych” dzieł, wymagających pracowitości niezwykłej i dużego talentu, napisał Bainville sporo. Wymieniamy główniejsze, któremi pozyskał rozgłos w całym świecie: *„Bismarck et la France“*, *„Histoire de deux peuples“*, *„Les conséquences politiques de la paix“*, *„L'histoire de France“*, *„Napoleon”*, *„La Troisième République”* (1870—1935 r.) etc. Ostatnią większą pracą Bainville'a była książka p. t. *„Les Dictateurs”*, ostatnim artykułem politycznym, pisanym na parę dni przed zgonem artykuł w tyg. *„Candide”*, którym ostrzegał rząd Francji przed wiązaniem się sojuszem z państwem Sowietów.

Przedwczesny zgon Bainville'a pozbawia obóz monarchistyczny i antydemokratyczny Francji jednego z najwybitniejszych jego szermierzy.

W. J.

POKŁOSIE

COŚ TU JEST NIE W PORZĄDKU

W OSTATNICH miesiącach, a nawet latach zajmujemy się pilniej rolnictwem, a raczej jego położeniem, przedsiębierzemy jakieś kroki ratunkowe i martwimy się, że środki te nie dają, przynajmniej dotychczas, decydującej poprawy. Ale godzi się zapytać, czy sami rolnicy w tym czasie również pilniej orzą? I odpowiedź jakoś nie wypada twierdząco, przynajmniej jeżeli weźmiemy jedną z wielu, ale zato bardzo ważną stronę tej orki, mianowicie naukę tej skomplikowanej i trudnej sztuki wydobywania z roli odpowiednich plonów.

W sanacyjnej „Gazecie Polskiej" znaleźliśmy niedawno taki artykulik i zestawienia cyfrowe:

„Sprawa studjów młodzieży wiejskiej na wyższych uczelniach urasta w Polsce, jako kraju rolniczym, do jednego z najważniejszych problemów szkolnictwa. Na podstawie danych statystycznych stwierdzić jednak należy, że młodzież wiejska w szkołach wyższych stanowi coraz mniejszy odsetek, aczkolwiek ilość gospodarstw mniejszych wzrosła w ciągu ostatniego 15-lecia z 3.200.000 do 4.000.000.

Jaskrawym tego przykładem jest Szkoła Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, w której na trzech wydziałach, a mianowicie: rolnym, ogrodniczym i leśnym studjuje 1412 słuchaczy, wśród których młodzież, pochodząca ze wsi, wynosi zaledwie 33 proc. Najmniej słuchaczy-rolników przypada na wydział leśny. Stanowią oni w S. G. G. W. zaledwie 22 proc. Na wydziale ogrodniczym 30 proc. słuchaczy pochodzi ze wsi, 19 proc. to synowie przemysłowców i handlowców, zaś 51 proc. rekrutuje się ze środowiska urzędniczego i wolnych zawodów.

Najwięcej, bo aż 48 proc. słuchaczy pochodzących ze wsi studjuje na wydziale rolnictwa. Wśród nich 69 to synowie włościan. Niewielka liczba słuchaczy ze wsi i stosunkowo duża z miasta na studjum rolniczem wskazuje, łącznie zresztą ze zmniejszeniem się liczby gospodarstw folwarcznych, iż jesteśmy świadkami pewnej transfuzji między wsią a miastem".

Istotnie, przewaga elementu miejskiego nad wiejskim na wyższych studjach rolniczych i leśnych jest zastanawiająca. Widocznie wieśniacy popadli w najsilniejsze zwątpienie co do możliwości zapewnienia sobie egzystencji na roli i mieszczuchy przewyższają ich w optymistycznem ocenianiu położenia.

Ale przypatrzmy się bliżej całości zagadnienia kształcenia się rolników w swoim fachu. Gospodarstw rolnych mamy, jak wspomniano ponad 4 miljony; ale jeżeli weźmiemy tylko gospodarstwa większe, to widzimy, że mamy (a raczej mieliśmy, bo cyfry odnoszą się do roku 1921, a więc teraz zmieniły się, chociaż nie tak znacznie, żeby całe położenie wypadło zgruntu odmiennie) — a więc mamy 76 tysięcy gospodarstw mających od 20 do 50 hektarów gruntu, 11 tysięcy, posiadających od 50 do 100 hekt. i wreszcie 19 tysięcy gospodarstw mających więcej niż 100 hektarów. Razem więc jest ponad 100 tysięcy rodzin rolniczych, po których spodziewaćby się należało, że mają syna lub córkę w rolniczej szkole zawodowej.

A jak wypada rzeczywista liczba uczniów tych szkół?

Otóż na kursach i w ludowem szkolnictwie rolniczem było w r. 33/34 wszystkiego 6.300 uczniów i uczenic, a na wydziałach rolnych w wyższych uczelniach 2.600 słuchaczy, w tem 2.100 młodzieńców i 500 panien.

Trzeba przyznać, że jest to bardzo skąpo, nietylko gdy weźmiemy pod uwagę miljonowy naród w ogromnej przewadze siedzący na roli, ale nawet gdy będziemy sądzili tylko z tych 100 tysięcy rodzin, mających gospodarstwa większe; a te 2.600 słuchaczy wyższych studjów rolnych przy 19 tysiącach gospodarstw folwarcznych też nie jest liczbą imponującą, tembardziej że, jak widzieliśmy poprzednio, synowie rolników stanowią w tem zaledwie trzecią część.

Nikła liczba uczniów szkół rolniczych i kursów niższego, czy średniego typu, może i prawdopodobnie jest uwarunkowana kiepską, nie odpowiadającą potrzebom i możnościom ludności wiejskiej organizacją tych szkół. P. Stan. Rymar oświetlał tę sprawę niedawno na łamach „Myśli Narodowej" i wykazywał, jak to jeden słuchacz szkoły zawodowej rolniczej kosztuje państwo drożej, niż student Uniwersytetu. Tu wina organizacji jest oczywista. Ale w szkolnictwie wyższem? Synowie rolników stanowili na wyższych uczelniach gromadkę ponad 6 tysięcy osób na pięćdziesiąt kilka tysięcy, ale na rolnictwie było ich tylko, jak widzieliśmy, około 900. A więc tylko co siódmy studjuje rolnictwo. A kto gospodaruje? Czyżby po dawnemu ten z synów, który się nie udał?

Na prawie mieliśmy 15.300 słuchaczy, na filozofji — 12.600, na medycynie — 4.200, na technice — 7.200, a na rolnictwie 2 600, podczas gdy sztuki piękne studjowało 600 osób, wychowanie fizyczne 300, a nawet, pożal się Boże, dziennikarstwo aż 200.

Wygląda tak, jakgdyby rolnictwo uważane było nadal za fach, w którym książka jest zgoła niepotrzebna. Może to też się nieco przyczynia do tego opłakanego stanu dzisiejszego?

ARGUS

NA MARGINESIE

Ujawniło się przypadkiem, że w łonie Sejmu opinje na gospodarkę leśną są podzielone. Gdyby nie ten traf, że udało się podchwycić rozmowę prywatną posłów, władze nie miałyby pojęcia, że istnieją tu jakieś wątpliwości. Pokazuje się, że nawet Sejm może się na coś przypadkiem przydać.
Wiedziałaby coś tylko N. I. K., pozatem NIKT.

*

Zawsześ to postęp, że w sanacyjnem „Słowie" wileńskiem uznano za możliwe przypomnieć sobie o istnieniu Dmowskiego i nawet zmierzyć pewne jego wartości przez zestawienie go z innym politykiem, i to nie byle kim, bo red. Mackiewiczem!
Sapienti Cat.

*

Niewiele pociechy z bojowników, którzy kordegardę nazywają Awangardą.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.